Nr. 135 — Lwów — Piątek dnia 15 Czerwca. — Rok 1894.

Wychodzi w dni powszednie o godz. 4. po południu.
NUMER KOSZTUJE
we Lwowie 4 ct.
na prowincyi 5 „
Numera z poprzednich miesięcy po 10 ct.
„Przegląd" jest do nabycia we Lwowie w obu Biurach sprzedaży dzienników i we wszystkich większych trafikach.

PRZEGLĄD
POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Cena prenum. na prowincyi.
Miesięczna złr. 1·10 | Półroczna złr. 6
Kwartalna „ 3·— | Roczna „ 12
Za zmianę adresu opłaca się 20 ct.
Prenumeratę należy przesyłać przekazami. Do przesyłanej w kopertach pieniężnych należy dodawać 5 ct.

CENY OGŁOSZEŃ
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
Wiersz petitowy albo jego miejsce . 10 ct
W „Drobnych ogłoszeniach" za każde słowo drukiem petitowym po . . 2 „
zaś tłustym garmondem po . . . 4 „
Korrespondencye prywatne za każde słowo drukiem petitowym po . . 4 „
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia, wiersz petitowy albo jego miejsce 30 ct.
Reklamy . . . . 20 „
Nekrologia . . . . 20 „
Ogłoszenia do „Przeglądu" przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW" ul. Karola Ludwika L. 9.

Dziś: św. Wit. i Mod. | Łukiłyana M.
Jutro: św. Franciszka | Sabota zadusz.
Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45.
Naczelny Redaktor i Wydawca: **Ludwik Masłowski.**
Wschód słońca g. 4 m. 5
Zachód „ „ 7 „ 56
Długość dnia g. 15 m. 56
Przybyło dnia od wczoraj 1 m.

Przegląd polityczny.

Lwów 14 czerwca.

Czy pokój; może znużyć i znudzić? Czy samo jego długie trwanie może obudzić w narodzie duszną tęsknotę do wojny, jak długi hałas wywołuje pożądanie ciszy, albo znowu jak cisza zbyt przewlekła wznieca życzenie hałasu? Wszakże się pożąda tylko tego, co daje jakąś rozkosz, a wojna jest jednym łańcuchem okrucieństw, wysiłków i bolesnych wstrząśnień. Marcin Bielski mówi o Pomorczykach, że „tęskno im było z pokojem", ale to było wówczas, gdy rycerskiem rzemiosłem trudniła się jedna tylko warstwa, wychowywana z pokolenia na pokolenie dla wojny, pełnej przygód, a mało groźnej dla życia, przytem jako zajęcie, tak zyskownej, że ją uważano za źródło zbogacenia majątku; były to zresztą czasy surowe, kiedy mniej ceniono życie i dla śmierci miano ogromną pogardę. Dziś natomiast idą na wojnę ludzie od pługa, tokoła i palestry, idą na śmierć z ogromnym żalem, a idą najwięcej z niechęcią, na kalectwo, na nędzę, i co zdobędą, to się nie im dostanie, lecz państwu, o którem przecież miliony ludzi mają bardzo słabe pojęcie. Więc czy dziś może jakiś naród pożądać wojny tylko dlatego, że go znudził pokój? Czy trzeba się liczyć z tem, że w naturze ludzkiej jest coś, co czyni marzeniem ideał wiecznego pokoju? Dotychczas wierzono, że pokój nie przyszło zastanawiać się nad tem. Sprawa uznawano moralne znaczenie wojny i jedni uważali ją za barbarzyństwo, które tamuje rozwój cywilizacyi i spycha nawet zwycięskie narody na niższy stopień kultury, inni zaś dowodzili, że ona jest potężną dźwignią postępu, a to dlatego, że bez silnych wstrząśnień i katastrof narody łatwo się zaskorupiają i tężeją, jak chińskie lub japońskie. Wskazywano wreszcie na to, że jak ludzie wiecznie się kłócą, tak też i narody do końca świata będą się z sobą waśniły z różnych powodów zewnętrznych, mających swe ostateczne źródło w ekonomicznych przyczynach. Ale nikt nie wystąpił z teoryą o istnieniu w naturze ludzkiej skłonności do wojny i takiego jej pożądania od czasu do czasu, jak się pożąda pokarmów, światła słonecznego, radości — i że ta dążność staje się czasami tak gwałtowną, iż jej żadne rozumowanie, żadna siła rządowa wstrzymać nie może.

Z taką nową teoryą wystąpił Emil Ollivier, ostatni minister Napoleona III, mąż stanu niezawodnie wyjątkowy, ale skazany na bezczynność za swą wierność monarchicznym ideałom i cześć dla Apostolskiej Stolicy, co w dzisiejszej Francyi jest złą rekomendacyą. Dowiedział się on, często bywając w Rzymie, że Papież istotnie opracował Encyklikę o powszechnem rozbrojeniu się mocarstw i miał ją ogłosić, ale ją schował, gdyż został nakłoniony do zaniechania tego zamiaru, bo niektórzy naczelnicy państw przedstawili mu, iż taka Encyklika w dzisiejszej sytuacyi wprawi ich w położenie wielce kłopotliwe.

Cóż jest w dzisiejszej sytuacyi, że nawet teoretycznie nie można mówić o rozbrojeniu? Wszakże wszystkie rządy pragną pokoju i co czynią, to wyłącznie dla jego utrwalenia. Emil Ollivier temu nie przeczy, tylko utrzymuje, że w nieuwzględnieniu rządów, lecz w usposobieniu narodów leży niepokój, który o zerwaniu pokoju, tylko wśród mas ludowych tak wzbiera, jak fale podczas powodzi, gdy ludzie wzniosą wały nie dla sprowadzenia pogody, lecz dla zabezpieczenia się od potopu. Widocznym objawem tego usposobienia jest to, że w narodach nie ma przyczyny wewnętrznej, jak gdyby miejsca sobie nie umiały znaleźć. Mniejsza o formy, które przybiera ta burzliwość ducha; niech to będzie anarchiczny socyalizm we Francyi, skłonność do spisków we Włoszech, antysemityzm w Niemczech, radykalizm w Anglii, gdzie Labouchère woła, że historyczność urządzeń nie daje im żadnego prawa do życia; muszą one zniknąć z powierzchni ziemi, aby na ich miejscu stanęły rzeczy nowe. Te wszystkie doktryny powstały tylko dlatego, że umysł ludzki zawsze się stara naukowo usprawiedliwić każdy popęd, a więc zaraz tworzy teoryę. Są to rzeczy podrzędne, jak się na zewnątrz wylania ów niepokój duszny, owo rozdrażnienie, owa kłótliwość, którą wszędzie widzimy. Po prostu narodom świerzbią ręce, tłumy chcą gwałtownych wrażeń, jaskrawych obrazów, wstrząśnień aż do szpiku, a wiadomo, że tego wszystkiego wielkim tłumom nie dostarczy ani żadna wspaniała sztuka, ani genialny wynalazek, ani odkrycie naukowe, — one potrzebują wściekłej bójki, krwi, pożarów, trzasku walących się gmachów, wycia orkanu. Wtedy tłumy, które poziewały z nudów ciszy i powszedniości, a szamotały się same w sobie i tem niepokój ducha okazywały ciągłemi wybrykami, mają zupełne zadowolnienie i nasyciwszy swą pożądliwość wrażeń, wracają do równowagi uczuć, — wówczas zaś zjawia się tęsknota za spokojem.

Zdaniem Emila Olliviera, w takiem usposobieniu znajdują się teraz narody zachodnio-europejskie. Jeśli spostrzeżenie jego jest trafne i słuszna teorya, którą rozwinął, to może już się rozkrzewił na całe organizmy narodowe ów „bakcyllus zaniepokojenia", o którym dwa lata temu mówił hr. Caprivi. Utrzymuje Ollivier, że rządy czują tę gwałtowną żądzę burzy i w tem widzą jedyne niebezpieczeństwo sytuacyi, obawiają się zaś, żeby tak silny głos za pokojem, jak głos papieskiej Encykliki, nie sprawił efektu wręcz przeciwnego zamierzonemu przez Leona XIII. Marzenie o wiecznym pokoju pozostanie zawsze dostępne tylko jednostkom bardzo humanitarnym, tłumy zaś będą po wieczne czasy rozumiały tylko swą wściekłość, która podepcze wszystkie argumenta za pokojem i upust dla siebie znajdzie w bójce domowej, która jest rewolucyą, czy w bójce z sąsiadami, zwanej wojną.

Teorya Olliviera może jest tylko efektowną hipotezą, jego wiadomość o napisanej już i schowanej do archiwum Encyklice o rozbrojeniu może jest mylna. Pozostaje jednak pełnem znaczenia to, że wszyscy publicyści, którzy się odezwali o rozprawie Olliviera, zgadzają się z nim, iż naprawdę uczucia tłumów są tak wezbrane i wzburzone, że gwałtowny ich wybuch jest nieunikniony i do explozyi potrzeba tylko lada drobnostki, podniety mniejszej, niż kary wierzchowiec Boulangera.

Zanotowaliśmy już, że się rozpowszechniło przekonanie, jakoby nowe ministeryum bułgarskie skłonne było do jakichś ustępstw na rzecz rosyjskich pretensyi; poczęto nawet mówić o poufnych rokowaniach w tej sprawie, o podziale bałkańskiego półwyspu na sfery wpływów austryackich i rosyjskich i o warunkach, którym ks. Ferdynand ma zadość uczynić dla uzyskania od mocarstw aprobaty. Wszystko to było zupełnie bezpodstawne. Korespondentom pism zagranicznych oświadczyli podobno ministrowie, że każdy z nich był albo członkiem gabinetu stambułowowskiego, albo prezesem sobrania za poprzedniego ministeryum, a zatem na zagraniczną politykę Stambułowa całkowicie się piszą, a tylko rozchodzą się z nim na punkcie postępowania wewnątrz kraju. Więcej jednak, niż owe wrzekome oświadczenia ministrów, świadczy o zatrzymaniu dawnego kierunku reskrypt wystosowany przez księcia do Stambułowa, oczywiście za zgodą gabinetu. Reskrypt ten, jako akt politycznego znaczenia, uważamy za właściwe przytoczyć. Brzmi on tak:

„Mój kochany panie Stefanie Stambułów! Z głębokiem ubolewaniem dowiedziałem się z ostatniego oświadczenia, które pan wystosowałeś do mnie, żeś postanowił usunąć się od kierownictwa państwowemi sprawami, które-to kierownictwo sprawowałeś od 20 sierpnia 1887 roku ku sławie Bułgaryi, a z wielkim pożytkiem dla niepodległości ojczyzny. Od pierwszej chwili wstąpienia mego na tron, miałem w panu najbliższego doradzcę, któremu z zupełnem zaufaniem powierzałem moje myśli i zamiary, słuchałem pańskiej doświadczonej rady i zawsze, przy każdej zgoła sposobności zbierałem dowody, że byłeś pan dla mnie wiernym przyjacielem, dzielnym mężem stanu, odważnym obrońcą sprawy bułgarskiej i najzupełniej oddanym poddanym. Dziś, gdy spełniając pańskie życzenie, uwalniam go od obowiązków prezesa gabinetu i ministra spraw wewnętrznych, wyrażam głębokie przekonanie, że także w przyszłości pozostanie pan wierną i pewną podporą tronu, dynastyi i ojczyzny. Nie rozporządzam żadnym środkiem, którym mógłbym okazać panu moją najserdeczniejszą wdzięczność i jeszcze raz, jak zawsze przedtem, zamanifestować me uczucia z należytą siłą. Przeto tylko oświadczam uroczyście, że za wszystko, co pan uczynił dla rozwoju kraju, dla ustalenia i polepszenia stosunków zagranicznych, za wszystkie usługi oddane z wzorowym patryotyzmem mojej osobie, za najwierniejsze wspieranie korony i dynastyi: ja nazawsze zachowam dla pana uczucia wielkiej życzliwości, wdzięczności bezgranicznej i przyjacielskiego przywiązania."

Kto tak gorąco podnosi polityczne zasługi ustępującego ministra i kierunek jego nazywa sławnym, pożytecznym, a przytem osobno wspomina, że był on „odważnym obrońcą sprawy bułgarskiej", ten jużci nie zamierza kierunku tego zmieniać, ani odrabiać tego, co uczynił „odważny obrońca". Rosyjska prasa, która zawsze wpada z ostateczności jednej w drugą, szeroko teraz marzy i już ma za rzecz pewną, że niedaleka ta chwila, w której Warna i Burgas będą stacyami rosyjskiej floty, na czele pułków bułgarskich staną komendanci carscy, a sprawami zagranicznemi księstwa będzie kierował dyplomata delegowany z nad Newy, słowem, że się stanie to, co swego czasu, mianowicie przed przybyciem do Bułgaryi księcia Ferdynanda, proponował Bułgarom poufny wysłaniec rosyjskiego rządu, p. Tatiszczew. Marzy o tem rosyjska prasa, lecz się znowu zawiedzie.

Nowi ministrowie węgierscy.

O nowych ministrach węgierskich, Eötvösie i Andrassym, piszą z Budapesztu:

Ojcowie ich bar. Józef Eötvös i hr. Juliusz Andrassy od roku 1848 odegrali pierwszorzędną rolę w Węgrzech, drugi nawet w całej monarchii, a tem samem pośrednio w wielkiej polityce europejskiej. Baron Eötvös, znany jako sławny pisarz, był już ministrem oświecenia w roku 1848, potem znowu w roku 1867, ale niebawem umarł. Syn jego Lorand, urodzony r. 1848, poświęcił się studyom fizyki na wszechnicach niemieckich; od roku 1871 jest profesorem wszechnicy tutejszej, od kilku lat prezesem akademii i członkiem Izby magnatów. W walkach politycznych nie brał dotąd żadnego udziału, co warto tem wyraźniej zaznaczyć, ponieważ mniej obeznani z tutejszymi stosunkami, często mięszają go ze znanym przywódcą skrajnej lewicy Karolem Eötvösem, który jednak nie pozostaje w żadnem pokrewieństwie z baronami Eötvösami. Siostra nowego ministra oświecenia wyszła za p. Plenera.

Podnosząc, że baron Eötvös nie brał dotąd żadnego udziału w politycznych sprawach, musimy uczynić tylko jeden wyjątek. W czasie pogrzebu Kossutha pozwolił on na wywieszenie chorągwi żałobnej w pałacu akademii umiejętności przy placu koronacyjnym. Zważywszy, że założyciel akademii hr. Szechenyi, staczał zacięte walki z Kossuthem, że także ś. p. baron Józef Eötvös, chociaż bardzo liberalny, był stanowczym przeciwnikiem dyktatora z roku 1848, i zważywszy nareszcie, że Kossuth nie pozostawał w żadnym związku z akademią i nie zaskarbił sobie około niej żadnych zasług, prezes akademii niewątpliwie uczynił niepotrzebne ustępstwo dla tak zwanych „popularnych" prądów. Jakoż naprzykład marszałek dworu hr. Szecsen z powodu owej chorągwi, natychmiast złożył godność honorowego członka akademii i w liście publicznym ostro strofował jej dyrekcyę. Jeżeli pomimo tego kandydatura Eötvösa na członka gabinetu nie wywołała *veto* monarchy, świadczy to, że kładzie on wyżej zasługi ojca, niż pewne wykolejenia „niepolitycznego" syna.

Nowy minister u dworu cesarskiego hr. Juliusz Andrassy, urodzony r. 1860, co do powierzchowności bardzo podobny do ojca, uważany jest tutaj także za spadkobiercę jego zdolności dyplomatycznych, gdy starszy brat jego, Teodor, wiceprezydent Izby poselskiej, reprezentuje raczej wielkopańskie przymioty rodu. Hr. Juliusz, liczący dopiero lat 34, krótko jako sekretarz ambasady przebywał w Berlinie, potem wcześnie wstąpił do sejmu. W ostatnich ogólnych wyborach r. 1892 stoczył zaciętą walkę z opozycyą w stolicy i został wybrany znaczną większością głosów. W jednej z ówczesnych mów bardzo dobitną czynił różnicę pomiędzy liberalizmem węgierskim a zagranicznym, dowodząc, że pierwszy powinien być przedewszystkiem narodowy i nie powinien — naśladować obcych haseł! Wtedy hr. Andrassy oczywiście nie przewidywał jeszcze, że przed końcem roku powstanie gabinet z programem ślubów cywilnych. Mimo to przyjął w nim urząd sekretarza stanu w ministeryum spraw wewnętrznych. W Izbie jako mówca nie zasłynął. Raz tylko, podczas rozpraw nad budżetem r. 1892, zapowiadano wielką mowę młodego hrabiego, ale wypowiedziawszy kilka słów, nagle zasłabł i już nie dokończył mowy. Znakomitym mówcą więc nie będzie, co nie wyklucza jeszcze zdolności dyplomatycznych, Czy jednak w kołach dworskich posiada wpływ, który mu chętnie przypisują przyjaciele tutejsi? — to pytanie.

Że p. Szilagyi pozostaje ministrem sprawiedliwości, jest rzeczą zdumiewającą. Może tłómaczy się to głównie obawą Wekerlego przed ciętym kalwinem. Kiedy w r. 1867 hr. Beust składał gabinet austryacki i dziwił się, dlaczego inni kandydaci, Giskra, Hasner, Berger, Taaffe itd. obstawali przy powołaniu do gabinetu Herbsta, jeden z nich otwarcie oświadczył: „stanie nam się mniej niebezpiecznym w gabinecie, niż w izbie". Rachuba ta jednak zawiodła, bo Herbst w krótkim czasie rozsadził gabinet.

KORESPONDENCYE.

Rzym 9 czerwca.

Blisko rok temu pisałem wam o aresztowaniu czterech indywiduów, które wyłudziły trzydzieści tysięcy franków od pewnego zdziecinniałego staruszka proboszcza i notaryusza, zapewne najnaiwniejszego jaki istnieje pod słońcem. Pieniądze miały być użyte ni mniej ni więcej tylko na... oswobodzenie z niewoli Papieża.

Ksiądz Xae, proboszcz jednej z parafii wschodniej Francyi, i jego przyjaciel, notaryusz Glainard, zostali mocno swego czasu zaintrygowani wieściami, szerzonemi przez pewną „jasnowidzącą" z Lagny. Owa jasnowidząca twierdziła, że wewnątrz Watykanu utworzyła się kamarylla, która zawładnęła osobą Ojca św. i trzyma go w podziemiach pałacu apostolskiego i że na miejsce prawowitego Papieża postawiono samozwańca, który przyjmuje pielgrzymów i udziela błogosławieństwa *urbi et orbi*. Tak z wszelką pewnością twierdziła jasnowidząca.

Proboszcz z notaryszem, zastraszeni tą wiadomością, wybrali się niezwłocznie do Rzymu. Lecz co począć dalej, by położyć kres niesłychanemu bezprawiu? Postanowili zwrócić się najpierw do rządu włoskiego i do króla, a tymczasem odwiedzali rozmaite wybitne osobistości i opowiadali im straszną historyę watykańską. „Wybitne osobistości" słuchały, kiwały głowami ze zdumieniem i powątpiewaniem o rozumie obu przybyszów, którzy po kolei byli u hrabiny de Saint-Arnaud, kobiety światowej i literatki, u księcia Buxbelli Foscolo, reprezentanta rzeczypospolitej Honduras, dalej u książąt Salvucci, Torlonia i innych.

Hrabinę de Saint-Arnaud pierwszą zdołano zjednać dla sprawy. Ona to postanowiła z pomocą swych przyjaciół, ludzi odważnych i zdecydowanych na wszystko, takich jak książę Buxbelli i kawaler Salvacci, oswobodzić Papieża z podziemi i pomódz mu do odzyskania Stolicy Apostolskiej. Oprócz odwagi i przeświadczenia o słuszności podjętej sprawy, do dopięcia celu trzeba było bagatelki — coś około 30.000 fr. Proboszcz Xae i notaryusz nie wahali się ani chwili, wypłacili żądaną sumę i po upływie paru tygodni otrzymali radosną nowinę, że wielkie dzieło pomyślnie spełnione zostało: Papież Leon XIII zasiadł na nowo na swym tronie, a samozwaniec zajął jego miejsce w podziemiach watykańskich.

I historya cała nie wyszłaby nigdy poza kółko oszustów i oszukanych, gdyby proboszcz z notaryuszem, powróciwszy do domu, nie zapragnęli pochwalić się wyprawą do Rzymu i nie wydali broszury, w której rozgłosili o usłudze oddanej katolicyzmowi. Broszura ta zwróciła uwagę sądów włoskich, które zarządziły aresztowanie hrabiny de Saint-Arnaud, księcia Buxbelli Foscolo i kawalera Salvucci.

Proces tej trójki, ukończony kilka dni temu, był dla licznie gromadzącej się na nim publiczności niewyczerpanem źródłem humoru i zabawy. Proboszcz Xae i notaryusz Glainard zawezwani do sprawy, nietylko nie wnieśli skargi, ale w żaden sposób nie chcieli uwierzyć, iż uwięzienie i oswobodzenie Papieża odbyło się tylko w ich imaginacyi i utrzymywali, że proces jest niczem innem tylko ciemną intrygą polityczną. Oto niektóre szczegóły z posiedzeń sądowych.

„Hrabina de Saint-Arnaud oświadcza, iż liczy lat 49. Nos orli, oczy głęboko osadzone, typ jak wymarzony dla „Serafiny" Sardou. Przez czas pewien redagowała dziennik p. t. „Kobieta i praca". Wchodzi w towarzystwie dwóch oswobodzicieli Papieża i utrzymuje, iż fakt uwięzienia i oswobodzenia jest najzupełniej prawdziwy.

„Pan Salvucci — zeznaje „hrabina" — zdołał dostać się do katakumb, gdzie widział Papieża Leona XIII-go zamkniętego w ciemnej izbie, poświęciwszy tysiące ze swych oszczędności, by przekupić żandarmów i straże. Papież był strzeżony przez arcyksięcia Jana Salwatora... Gdy zbliżała się chwila oswobodzenia, nie mając pieniędzy na przekupienie straży, zastawiłam wszystkie klejnoty rodzinne, obrazy... (wybuchy śmiechu pomiędzy publicznością).

P r e z y d u j ą c y. Ile pani wydałaś pieniędzy na oswobodzenie Papieża?

H r a b i n a. Dwadzieścia dziewięć tysięcy franków, z których dziesięć tysięcy otrzymał pewien młody człowiek z poleceniem, by je zaniósł arcyksięciu Salwatorowi. Arcyksiążę miał uciec z Rzymu. Resztę podzieliłam pomiędzy Salvucci'ego i Buxbelli'ego, Salvucci wydał około siedmiu tysięcy franków na kupno waliz i przyborów podróżnych dla arcyksięcia Salwatora.

P r e z. Za siedm tysięcy franków musiał zakupić cały magazyn waliz. A co pani zrobiłaś z resztą pieniędzy?

H r a b i n a. Wydałam je na podróż, bo z polecenia proboszcza Xae miałam wręczyć dwa listy, jeden cesarzowi austryackiemu, drugi królowi włoskiemu.

P r e z. Jak panią przyjęli monarchowie i co było w listach?

H r a b i n a. Cesarz Franciszek Józef wyjechał na polowanie. Zostawiłam list sekretarzowi. Następnie udałam się do Monza. Król Humbert nie chciał mnie przyjąć. List oddałam jednemu z sekretarzy, któremu poskarżyłam się, iż monarcha nie chce mnie przyjąć, pomimo, iż mam do niego misyę sekretną.

P r e z y d u j ą c y. Lecz cóż było w liście do króla?

H r a b i n a. Notaryusz pisał do króla, żeby położył koniec skandalowi watykańskiemu. Jeżeli to uczyni, przebaczonem mu będzie i jego rodzinie zajęcie Rzymu.

To oświadczenie wywołuje na sali szalone wybuchy śmiechu, który udziela się sędziom.

Głosem wzruszonym hrabina Saint-Arnaud dodaje, iż Watykan ofiarował jej 16 000 fr. za to, żeby nigdy nie mówiła o przygodzie Papieża.

Rozpoczyna się badanie księcia Buxbelli-Foscolo, liczącego 76 lat, urodzonego w Pizie, zamieszkałego w Rzymie. Książę oświadcza, iż jest dyplomatą na emeryturze. Nie był nigdy karanym.

Ta prezydujący przypomina mu, że rok temu został skazany w Paryżu za oszustwo. Dalej książę utrzymuje, iż jest ambasadorem generalnym rzeczypospolitej Honduras, lecz

---

4)

ŻABIAK

NOWELA

przez O. Ludwika Colomę T. J.

(Ciąg dalszy).

— Zostaw ją, niech robi, jak chce — rzekł stary Ventura, jak gdyby czytał w jego myślach. — Spełni się to, co jest napisane nad drzwiami przytułku w Xeresie: *„Ojciec i matka opuścili mnie, ale Pan mnie przygarnął."*

W trzy miesiące potem wdowa, zupełnie odzyskawszy zdrowie, wróciła do swej wsi, zabierając dziecko z sobą.

W przeddzień jej odejścia kołodziej wziął ją na stronę:

— Czy zastanowiłaś się nad tem, co chcesz uczynić? — rzekł. — Ojciec tego chłopaka umarł na galerach, a matka jest ostatnią ladacznicą, Consolacion! Pamiętaj, że niedaleko jabłko pada od jabłoni.

— Alboż to biedactwo wybierało sobie rodziców? — odparła wdowa.

— Zapewne, że nie; ale i tak ich zła krew płynie w jego żyłach. Wspomnij sobie zawsze na tego pasterza, co w górach znalazłszy małe wilczę, wykarmił je mlekiem owcy, wypieścił, wychował, myśląc, że sobie wiernego psa wyhołubi. A wilk tymczasem podrósłszy, uciekł do lasu, pożarłszy mu przedtem najpiękniejsze owce...

Wdowa zamyśliła się przez chwilę.

— Co ty zamyślasz uczynić z synem galernika? — zapytał brat, nabierając trochę nadziei, że zdołał ją przekonać.

— Nauczę go tego, co sama umiem... robić maty.

— Pasterz uczył wilka szczekać, a ono taki skończyło się na wyciu, jak wszystkie wilki.

— Powiedz mi, Baptysto — rzekła wdowa, bystro wpatrując się w brata — czy uczył on go także katechizmu?

— Naturalnie, że nie... Cóż za pytanie!

— A widzisz! Gdyby ten pasterz mógł był wilczę nauczyć katechizmu, byłby z niego zrobił więcej niż psa, byłby z niego zrobił jagnię. I ja to zrobię z mego chłopaka.

IV.

Consolation dotrzymała słowa, nie bez wielkich trudności i wysiłków, gdyż Żabiak był prawdziwem wilczęciem. Fatalne wspomnienie ojca, występne życie matki i złe przykłady Canija, wzbudziły w nim przedwcześnie zarodki zgubnych namiętności. Ale ta wiejska kobieta, która nie posiadała żadnej innej wiedzy, prócz umiejętności robienia mat i nie czytała żadnej innej książki, prócz katechizmu, znalazła w tych dwóch żywiołach, tak odmiennej natury, dwa jedyne bieguny, mogące doprowadzić do równowagi zwichnięte młodociane serce: pracę i religię. Posiadała przytem, jakby intuicyjnie, ten takt i tę roztropność, jakich osoby poświęcające się wychowaniu nabywają dzięki długiemu doświadczeniu i rozległym obserwacyom, a miała nad wieloma z nich tę wyższość jeszcze, iż rozumiała, że nie ma takiej pedagogiki na świecie, którąby nie potrzebowała poparcia modlitwy, sprowadzającej na duszę najdrogocenniejszy dar: łaskę bożą. Bo rozumny kierunek może do pewnego stopnia zmienić i pokonać złą naturę, ale sprowadzić ją ze złej w dobrą, tego tylko łaska boża dokonać jest w stanie.

Tak to pojmowała i w myśl tego postępowała ta pobożna, prosta kobieta, a żarliwa modlitwa sprowadzała obficie tę ożywczą rosę na biedną istotę, którą ludzie opuścili, a którą zaopiekowało się niebo. Wytrwałość wdowy tępiła zwolna nasiona złych skłonności w sercu chłopca, a łaska uzupełniała jej dzieło, szczepiąc w nim i rozkrzewiając święte ziarna cnoty.

I oto, w dziesięć lat potem, Żabiak był nietylko uzdolnionym rzemieślnikiem, ale nadto młodzieńcem religijnym i przykładnym, a jego uczciwość zwiększała wciąż — tak znaczną — klientelę warsztatu wdowy.

Pewnego dnia zawołano go do domu adwokata dla naprawy mat na zimę. Siedząc na ziemi z wielką igłą w ręku, cerował on matę w przedpokoju; drzwi, uchylone do sąsiedniego pokoju, pozwalały mu widzieć i słyszeć, co się tam działo.

W wysokiem krzesełku na kółkach, zamykającem się z tyłu, siedział synek adwokata, chory na nóżki. Ojciec podarował mu jedno z tych pudełek lubianych, które zawierają w sobie całe gospodarstwo: domek drewniany, drzewa z pomalowanych na zielono wiórków, płotki, krówki, owieczki, kozy i pasterzy.

Dzieciak rozłożył to wszystko na metalowej deszczułce, tworzącej rodzaj stoliczka na przodzie krzesełka i przyglądał się w zachwycie swoim bogactwom, jak prawdziwy bogaty ziemianin, odbywający przegląd całego swego dobytku.

Młodszy jego braciszek stał z boku: nie posiadał on żadnych wiejskich, ani miejskich włości, tylko twarzyczkę jaśniejącą zdrowiem i kształtne, chyże nóżki; założywszy rączki w tył, poglądał z zazdrością na bogactwa brata. Powoli zbliżył się do niego, a kapitalista nieufnem okiem śledził każde poruszenie proletaryusza.

Obawy te były uzasadnione: ten ostatni miał nader niedokładne pojęcie o prawie własności; bezwątpienia mniemał że się znajduje w owym złotym wieku, kiedy moje i twoje były wyrazami nieznanemi i wyciągnąwszy rączkę, porwał najtłuściejszą krowę. Powstał straszny hałas.

Pokrzywdzony właściciel porwał za pierwsze lepsze drzewo i cisnął niem w twarz napastnika, rozdrapując mu nosek; krew zagrzała namiętności, równowaga społeczna została zachwiana — domy się poprzewracały, trzody pouciekały do lasów, drewniani pasterze popadali na ziemię, martwi ze strachu. Wśród tego zgiełku ozwał się kobiecy głos z głębi mieszkania, uśmierzając bratnią walkę:

— Dzieci! dzieci! A to co za hałasy? Czy mam zawołać Cachany i wuja Canijo, żeby was do worka wpakował?

Żabiak podniósł żywo głowę, blady, znieruchomiały nagle.

Po raz pierwszy, od dziesięciu lat, imiona te obiły mu się o uszy i zdziwienie, przestrach, ciekawość, owładnęły całem jego jestestwem.

W tej samej chwili ukazała się na polu walki stara służąca i rozdzielając w równej mierze klapsy, przywróciła porządek między bogaczem a wydziedziczonym.

Chciała już odejść, gdy Żabiak ochłonąwszy trochę ze wzruszenia, zatrzymał ją, pytając:

— Z przeproszeniem pani.... Czy przypadkiem pani nie zna tej kobiety... Cachany... i wuja Canijo?

— Ja? Nie! — odrzekła staruszka, patrząc na niego ze zdziwieniem.

— Bo mówiła pani przed chwilą o nich tak... jak gdyby pani wiedziała, kto oni są?

— Jużci, że wiem. To ta ladacznica i ten włóczęga, których jutro „garotować" *) mają...

Piorun, padający u stóp Żabiaka, nie byłby go bardziej przeraził. Zbladł jak ściana i oparł się o framugę drzwi, z obwisłemi rękoma, ledwo mogąc utrzymać się na nogach.

— Co ci to chłopcze? Chory jesteś? — zapytała kobieta przestraszona.

— Ale czy to prawda? — wybełkotał Żabiak nie słysząc jej. — Skąd ta wiadomość? kto to powiedział?

— Kto powiedział? A toć mój pan, który miał coś w tej sprawie do roboty i wrócił wcześniej. Chcesz go zobaczyć? Jest w swojej kancelaryi.

(Ciąg dalszy nastąpi).

*) W Hiszpanii garotują, t. j. duszą osoby, skazane na śmierć.

rządowi włoskiemu nie przedstawiał nigdy listów uwierzytelniających.

Prezydujący. Dziwna rzecz, iż w ciągu kilku miesięcy pan jesteś drugim dyplomatą z Hondurasu, który zasiada na ławie oskarżonych (nowe wybuchy śmiechu na sali).

Książę nie przeczy wprawdzie, lecz nie przyznaje nic, mówiąc, że nie należał do niczego i o niczem nie chce wiedzieć.

Kawaler Salvucci opowiada, iż piędziesiąt lat życia spędził w domu Bonaparte i Torlonio, którzy go wielce szanowali.

Prezydujący. Jaki urząd pełniłeś pan u nich?

Kawaler Salvucci. Byłem kucharzem.

Słowa te wywołują śmiech homeryczny, który kawaler Salvucci, poważny starzec z siwą brodą, znosi z filozoficznym spokojem i on twierdzi, że widział Papieża Leona XIII-go w okowach. Dalej opowiada, iż gdy wraz z hrabiną de Saint-Arnaud przyniósł nowinę o oswobodzeniu proboszczowi Xae i notaryuszowi, wszyscy uklękli i odśpiewali „Te Deum".

Zabawa na sali doszła do zenitu, gdy pojawił się notaryusz. Nie mógł on w żaden sposób uwierzyć, że padł ofiarą oszustwa i odchodząc z sali posiedzeń, złożył głęboki ukłon „męczennikom", zasiadającym na ławie oskarżonych.

Sąd po krótkiej naradzie, skazał hrabinę de Saint-Arnaud, księcia Buxbalii i kawalera Salvucci na kilkunastomiesięczne ciężkie więzienie.

Z Izby sądowej.

(Sprzeniewierstwa w krajowem biurze solnem).

Dziś przed trybunałem sędziów przysięgłych we Lwowie rozpoczęła się rozprawa karna przeciw Konstantemu Kijańskiemu, urodzonemu w Rohatynie, rel. gr. kat., liczącemu lat 34, żonatemu, ojcu 3 dzieci, prowizorycznemu urzędnikowi Wydziału krajowego, oskarżonemu o to, iż w czasie od sierpnia 1893 do połowy lutego 1894 sprzeniewierzył kwotę 16892 złr. która jemu powierzoną została jako urzędnikowi Wydziału kraj.

Akt oskarżenia przedstawia całą sprawę jak następuje.

Na podstawie uchwały sejmowej z kwietnia 1892 i układu z rządem wprowadził Wydział krajowy w lipcu 1893 r. sprzedaż soli pod swoim zarządem. Zarząd ten wykonywała komisya sprzedaży soli złożona z członków Wydziału kraj. przez zorganizowane w tym celu biuro sprzedaży soli, zostające pod naczelnym nadzorem członka Wydz. kraj. p. Tadeusza Romanowicza. Kierownikiem tego biura jest inżynier górniczy p. Leon Syroczyński, fachowym referentem był obwiniony, nadto był w biurze personal pomocniczy. Kasa zawiadująca funduszem sprzedaży soli jest kasą krajową, mającą według instrukcyi pobierać wszelkie wpływające kwoty pieniężne, czynić wszelkie wypłaty i prowadzić ewidencyę przychodów i wydatków. Sprzedaż soli odbywa się przez zastępców w tym celu w całym kraju w liczbie przeszło 200 przez komisyę Wydziału kraj. ustanowionych, a [illegible] przy których urządził krajowe magazyny soli i ustanowił tam zarządców. Spedycyę soli ze salin lub magazynów do zastępców sprzedaży soli na prowincyi zajmuje się gal. Tow. handlowe, zaś w obrębie m. Lwowa p. Karol Tuszyński.

W myśl tej organizacyi i specyalnej instrukcyi zamawiają zastępcy sól w Wydziale kraj. za pomocą drukowanych blankietów, gdyż kupno soli na kredyt jest wykluczonem. Kasa krajowa po pobraniu gotówki dla zamówienia z potwierdzeniem odbioru pieniędzy do biura sprzedaży soli, które wydaje asygnatę na sól zamówioną do spedytora, spedytora zaś rzeczą jest pobrać sól na podstawie asygnaty w salinie lub w magazynie i odstawić ją zamawiającemu, który potem nadsyła do wydziału kraj. potwierdzenie odbioru soli. Wedle tej organizacyi prowadzi biuro sprzedaży soli tylko ewidencyę i rachunki zamówień, wydanych asygnat i potwierdzeń odbioru, oraz ruchu gotówki przez kasę krajową pobranej i wydanej, załatwia możliwe zażalenia zastępców sprzedaży soli, nie odbiera zaś gotówki.

Konstanty Kijański był fachowym referentem dla spraw solnych, fachowym dlatego, że jako były komisarz skarbowy znał agendy sprzedaży soli w c. k. salinach i sposób postępowania handlarzy soli, którzy ludność sól kupującą wyzyskiwali niejednokrotnie dowolnem ustanawianiem cen i mógł na podstawie tego znawstwa fachowego podać zarysy organizacyi krajowej sprzedaży soli, które wydział krajowy zużytkował. Jako referent fachowy był on właściwie duszą biura sprzedaży soli, inni urzędnicy zasięgali u niego rad i pouczeń i postępowali według jego wskazówek. Zwłaszcza w wypadkach wątpliwych, instrukcyami nieprzewidzianych, niedających się załatwić wedle przygotowanych formularzy, decydowała jego opinia, którą obwiniał urzędnikom jakoby powziętą po porozumieniu się ustnem z szefem departamentu, chociaż nie zawsze starał się o to porozumienie.

Wbrew instrukcyi zaczął przyjmować w biurze zamówienia i pieniądze na sól, na razie z grzeczności dla stron zamiejscowych, które zgłosiły się w godzinach, gdy Kasa krajowa była już zamkniętą, a spieszące się z odjazdem nie chciały czekać do dnia następnego. Mimo wytknięcia i wyraźnego zabronienia tego procederu przez p. Romanowicza odbierał obwiniony dość często w swoim biurze zamówienia i pieniądze, a co więcej niektórym stronom wprost mówił, że pieniądze mają być u niego składane. Była więc już stworzona sposobność do defraudacyi, której obwiniony kilkakrotnie się dopuścił. On nie był wprawdzie stałym urzędnikiem Wydziału, był tylko urzędnikiem prowizorycznym na kontrakcie służbowym, jednakowoż podlegał władzy dyscyplinarnej Wydziału kraj. i postanowieniom ustawy służbowej; pracując w biurze solnem przedstawiał się i był znany stronom jako urzędnik Wydziału, ze względu więc na ten charakter strony składały z zaufaniem pieniądze w jego ręce.

Z początkiem września 1893 r. zamówił Izaak Wachtel z Sędziszowa u obwinionego wagon soli w cenie 995 złr. i złożył do jego rąk częściową cenę kupna 250 zł. Z tej kwoty obwiniony nie oddał ani centa do kasy krajowej, lecz zatrzymał ją dla siebie. Wachtlowi zaś wyasygnował cały wagon soli za pobraniem reszty należytości w kwocie 745 złr. Wachtel odebrawszy sól złożył resztę ceny kupna, którą dnia 11 września 1893 r. do kasy krajowej wpłynęła. Urzędnik biura Władysław Kamieński zwrócił tedy uwagę obwinionego, że weszła reszta ceny kupna za wagon soli, podczas gdy część wprzódy zapłacona nie weszła, na co mu obwiniony odparł, że to zapewne pomyłka, i że należy zrobić przypomnienie, a reszta wyegzekwuje się od Wachtla. Przypomnienie zrobiono, lecz kwota 250 zł. została przy obwinionym. Ten sam Wachtel, otrzymawszy od obwinionego telegram, że jest wolny wagon soli do sprzedania, posłał na jego ręce zażądaną kwotę 979 zł., nie otrzymawszy jednak tego wagonu soli, przybył do Lwowa. Wtedy zwrócił mu obwinony 519 złr. i kazał zapłacić w kasie krajowej cenę pół wagonu soli, powiedział przytem, że za drugą połowę sam zapłaci. Wachtel uiścił wtedy w kasie za pół wagonu kwotę 507 złr. 50 ct. otrzymał zaś asygnatę na cały wagon, który odebrał. Obwiniony zatrzymał więc z pieniędzy przez Wachtla złożonych 460 złr., których do kasy krajowej nie oddał. Wł. Kamieńskiemu mówił wtedy obwiniony, że Wachtel to pewny człowiek, że można mu pół wagonu skredytować i że nie powinno się nikomu utrudniać nabycia soli. Kamieński zrobił przypomnienie celem ściągnięcia reszty od Wachtla; przypomnienie to jednak schował obwiniony do biórka i wcale go nie wysłał; znaleziono je po wydaleniu obwinionego z urzędu, w jego biórku.

W ten sam lub podobny sposób wyłudził oskarżony i przywłaszczył sobie 488 złr. 50 ct. od Judy Achta handlarza soli we Lwowie, 400 zł. od Józefa Pisarskiego zastępcy sprzedaży soli w Dolinie, 920 złr. od Salomona Nemlicha pełnomocnika Laury Zardeckiej zastępczyni sprzedaży soli w Bolechowie, 495 zł. od Motia Rudelta w Magierowie, 100 zł. od Tomasza Kapuścińskiego z Sieniawy, 289 zł. od Marcina Brączyka z Załoziec.

Niejednokrotnie zdarzyło się, że zastępcy sprzedaży soli nie przyjmowali soli wyasygnowanej i już na miejsce odstawionej lecz pozostawiali ją do dyspozycyi Wydziału kraj. I tak w sierpniu 1893 r., zastępstwo soli w Szczercu nie przyjęło pół wagonu soli, bo żądało bolechowskiej a przysłano mu stebnicką, około połowy listopada z. r. nie przyjął wagonu soli Włodzimierz Górecki zastępca w Żółkwi dla tego, że nie była opakowaną w workach, jak żądał, lecz wolno w wagonie. Również i z innych przyczyn niektóre zastępstwa nie przyjęły kilka wagonów soli. Nadto zwrócono uwagę komisyi, że sól w magazynach krajowych w Drohobyczu i w Kałuszu nagromadzona z powodu zmniejszonego chwilowo odbytu wilgotnieje i kruszeje, a tem samem traci na wartości. W skutek tego komisya postanowiła część tej soli sprowadzić do Lwowa i tutaj sprzedać. Z tej przyczyny wysłał zarządca magazynu w Drohobyczu Bronisław Myszyński do Wydziału kraj. dnia 25 listopada jeden wagon, a dnia 29 listopada i 7 grudnia po pół wagonu, zaś zarządca magazynu w Kałuszu Henryk Przestalski wysłał w ciągu miesiąca stycznia i w pierwszych dniach lutego br. ośm wagonów soli. Obwiniony otrzymał od p. Romanowicza ustne polecenie wszystkie te wagony soli w łącznej liczbie piętnastu i pół sprzedać za możliwie najlepszą osiągnąć się dającą cenę.

Obwiniony sprzedał też wszystką tę sól przedstawiającą wartość przeszło 14 000 zł. z uzyskanej ceny jednak oddał tylko 100 zł do kasy krajowej, resztę zaś przywłaszczył sobie, do czego zupełnie się przyznaje. Ile uzyskał obwiniony z tej sprzedaży nie jest sam w stanie dokładnie podać; nie wszystkie osoby, które tę sól od niego kupiły są znane, te zaś, które obwiniony wymienił, zostały wprawdzie przesłuchane lecz nie oznaczają ceny kupna we wszystkich wypadkach dokładnie, rzekomo dla niepamięci. Z przeprowadzonego jednak przypuszczalnie rachunku wynika, że obwiniony uzyskał za te wagony soli 13.296 zł.. 50 ct.

Podnieść jeszcze należy i tę charakterystycznie wielce okoliczność, że gdy dnia 12 lutego br. wyszły na jaw dwa wypadki malwersacyi przez obwinionego popełnionej i gdy mu szef departamentu p. Tadeusz Romanowicz kazał odejść z biura do domu, a przyjść na drugi dzień dowiedzieć się o postanowieniu Wydziału kraj. co do jego osoby zapaść mającem obwiniony po południu dnia 12 lutego i rano 13, biegał za listonoszem Karolem Leszczyńskim i dopytywał się za przesyłkami do biura solnego, odebrał też od tego listonosza 13 lutego awizo kolejowe na jeden wagon soli z Kałusza, antidatował potwierdzenie odebrania na 11 lutego i wedle potwierdzenia stampilii zarządu kolejowego na tym awizie odebrał ten wagon soli dnia 13 lutego. Odebrał go zapewne jakiś handlarz soli, który ów wagon w tym dniu od obwinionego kupił. Na sesyi Wydziału kraj. dnia 13 lutego br. uchwalono suspensyę obwinionego.

Zliczywszy wszystkie przez obwinionego sprzeniewierzone kwoty w wypadkach wyżej przedstawionych, które śledztwo odkryło, a które przyznaniem się obwinionego są stwierdzone, otrzymuje się łączną kwotę 16892 złr., jako wyrządzoną szkodę, na którą nie ma pokrycia, gdyż przy obwinionym znaleziono w chwili przytrzymania go dnia 21 lutego tylko 5 zł; Trudno jest rozwiązać nasuwającą się, na ocenienie winy zresztą wpływu nie mającą zagadkę, gdzie i w jaki sposób użył obwiniony tak znacznej zdefraudowanej gotówki. On zeznaniami swemi zagadki tej nie rozwiązuje. Tajemniczy wyjazd obwinionego w podróż rzekomo do Wiednia, z której wrócił aż dnia 19 lutego, gdyby cel podróży był wyświecony, wyjaśniłby może sposób użycia znacznej części tej gotówki. Obwiniony podał, że grywał wysoko w karty, sprawdzono jednak, że było to jeszcze przed wstąpieniem do służby w Wydziale krajowym na wiosnę 1893 r. Obwiniony podał dalej, że płacił długi, jednakowoż sprawdzono, że spłacił ich bardzo mało, zaledwie paręset złr., a do 3000 złr. pozostał winien. Podał także, że grał namiętnie w loteryę; istotnie sprawdzono, przesłuchawszy niektórych tutejszych kolektantów loteryjnych, że stawiał u nich wiele, bo po kilkaset złr. Nie zdaje się jednak, by te stawki wyczerpały całą powyższą sumę, obwiniony bowiem wygrywał znaczne kwoty na loteryi, wygrał mianowicie według zeznań kolektantów w r. 1892 i 1893 około 30 000 złr. Dodać należy, że obwiniony pobierał w Wydziale Krajowym płacę roczną 2400 zł. wystarczającą zupełnie na utrzymanie jego domu, który miał być skromnym. Tyle akt oskarżenia.

Do rozprawy wezwano 16 świadków a między innymi Władysława Kamieńskiego i Włodzimierza Zawadzkiego urzędników biura solnego, Leona Syroczyńskiego inżyniera górniczego i p. Tadeusza Romanowicza, członka Wydziału kraj.

Rozprawie przewodniczy radzca p. Zubrycki, jako wotanci fungują pp. Majewski i Nitarski, protokół prowadzi dr. Bartoszewski. Oskarża zastępca prokuratora p. Oleński, broni obwinionego dr. Michał Grek. Stronę poszkodowaną t. j. Wydział krajowy zastępuje dr. St. Bieliński.

Sala rozpraw zapełniona zaledwie do połowy. Wśród zebranych jest kilka pań.

Oskarżony jest mężczyzną średniego wzrostu, szatyn, o wielkim wąsie, pełnym zaroście i sympatycznym wyrazie twarzy. Zapytany o generalia zeznaje, iż do 1 grudnia 1892 był komisarzem w dyrekcyi skarbowej, od 1 grudnia 1892 do końca marca 1893 był urzędnikiem w gal. akcyjnem Tow. handlowem, od 1. kwietnia 1893 do 21 lutego b. r. był fachowym referentem w biurze solnem Wydziału krajowego. Zapytany przez przewodniczącego czy poczuwa się do winy oświadcza, że jest zupełnie niewinnym. Sprzeniewierzenia żadnego nie popełnił, wprawdzie wyliczone w akcie oskarżenia kwoty zatrzymał, ale nie w zamiarze przywłaszczenia ich sobie; uważał je za pewien rodzaj pożyczki, o źródła pokrycia tych pożyczek się starał i może udowodnić to świadkami, że na źródła te mógł liczyć. Urzędnikiem Wydziału krajowego nie był, był jeno referentem fachowym w biurze solnem, które według uchwały sejmowej było tylko przedsiębiorstwem pod nadzorem Wydziału kraj. Projekt cały zaprowadzenia krajowej sprzedaży soli opracował obwiniony i projekt ten został przez Wydział krajowy przyjęty. W dalszym ciągu opowiadał obwiniony długo i szeroko dzieje swej służby w dyrekcyi skarbowej, dokąd wstąpił natychmiast po skończeniu uniwersytetu; w dyrekcyi skarbowej pracując w departamencie VII, który miał administracyę wszystkich urzędów sprzedaży soli zapoznał się dokładnie ze stosunkami solnymi w naszym kraju i przekonał się, że pośrednicy w sprzedaży soli przeważnie żydzi, samowolnie li w chęci zysku podnoszą bez podstawy ceny soli na czem cierpi najbardziej ludność wiejska.

W roku 1889 został przeniesiony do powiatowej dyrekcyi skarbowej w Stanisławowie; tam zastał wiele skarg i zażaleń na nieprawidłowy handel soli; zwiedził sam wszystkie saliny i myślał nad tem, w jaki sposób możnaby tym nieprawidłowościom zapobiedz i uwolnić ludność od wyzysku pośredników. Wypracował więc projekt sprzedaży soli, którąby się zajęło w całym kraju jakieś handlowe Towarzystwo. Zysk bez wielkich wkładów byłby wielki, gdyż wszystkie galicyjskie saliny wyrabiają rocznie 5 milionów topek soli, więc $1/10$ część centa na topce, dawałaby 50.000 zł. czystego zysku. Projekt swój przedstawił drowi Marchwickiemu, który się nim wielce zajął i uznał jego wielką doniosłość. Dr. Marchwicki polecił obwinionego drowi Zgórskiemu, który projektem tym gorąco się zajął i starał się, aby pośrednictwo w sprzedaży soli objęło na cały kraj galic. Tow. handlowe. Ministeryum nie przychyliło się do prośby tego Towarzystwa; wówczas obwiniony zrobił memoryał do Wydziału krajowego, aby objął pośrednictwo w sprzedaży soli. Wydział krajowy projekt jego przyjął, i za zezwoleniem Sejmu, pośrednictwo w sprzedaży soli ujął w swe ręce.

Obwiniony został mianowany fachowym referentem. Za projekt swój nie otrzymał ani centa.

Co roku na lato wysyłał żonę z dziećmi na świeże powietrze do Doliny. To samo zrobił w r. 1893. Nagle otrzymał od żony telegram, że w pobliżu Doliny wybuchła cholera, i że żona obawiając się o dzieci pragnie powrócić do Lwowa. Obwiniony wówczas nie miał pieniędzy. Właśnie wtedy przybyły wagony soli do Lwowa, więc obwiniony sprzedał pół wagonu i za pieniądze otrzymane sprowadził żonę, zapłacił za nią mieszkanie w Dolinie itd. Raz wziąwszy pieniądze za sól brnął w tem dalej, następnymi kwotami pokrywał kwoty poprzednie i tak ciągnęło się długo. Starał się jednak zawsze o wyszukanie źródła, z któregoby mógł pokryć swoje długi w biurze solnem. Grał na loteryi wysoko, spodziewając się wygranej, chciał zaciągnąć pożyczkę w Banku zaliczkowym, był asekurowany w Tow. „Janus", gdzie mu obiecano 8000 zł., wypracował projekt poprawienia stosunków handlowych z bydłem opasowem na targu wiedeńskim i wszedłszy w współkę z braćmi Szapirami, spodziewał się z tego znacznych dochodów, w końcu poczynił kilka wynalazków, które także mogły mu przynieść wielkie dochody. Wynalazki te są: pług do odgartywania śniegu, przyrząd do zapobieżenia karambolom na kolejach, model nowego rusztowania przy budowlach; przyrząd do podnoszenia wapna i piasku na znaczne wysokości, ubezpieczenie teatru w razie pożaru na scenie itp. Obwiniony chciał każdy z tych wynalazków wyjaśniać, przewodniczący atoli na to nie pozwolił, zaznaczając, iż to nie należy do rozprawy.

Obwiniony podniósł także, że gdyby go nie aresztowano, byłby już dług swój zapłacił. Aresztowanie go przeszkodziło temu.

Na zapytanie przewodniczącego zeznaje obwiniony, iż wszystkie wyliczone przez akt oskarżenia kwoty pobrał i zatrzymał, ale nie miał zamiaru ich sprzeniewierzyć.

W dalszym ciągu przesłuchiwał przewodniczący obwinionego co do poszczególnych faktów pobrania bezprawnie pieniędzy za sól i wypytywał się o manipulacyę w biurze solnem, którą obwiniony szeroko wyjaśniał. Z wyjaśnień tych okazuje się, iż obwiniony nie miał prawa brać pieniędzy od stron. Zeznaje, iż do Wiednia jeździł w sprawie swoich wynalazków.

Na zapytanie przewodniczącego podnosi obwiniony, że urzędnikiem Wydziału kraj. nie był, był tylko zaangażowany jako referent dla spraw solnych. Przysięgi nie składał żadnej tylko złożył przyrzeczenie w ręce marszałka. Dalej twierdzi, iż dyrekcyę skarbową opuścił dobrowolnie; o emeryturę się nie starał, dyscyplinarki żadnej nie miał. Na pytanie prokuratora odpowiada, iż 15.000 zł. przegrał na loteryi, a mianowicie 10.000 zł. we Lwowie, a 5000 zł. w Wiedniu, pieniądze te przegrał od sierpnia 1893 do 21 lutego br. t. j. do czasu jego aresztowania. Stawiał tylko na ekstrakto na jeden numer, po 50, 100 200 i więcej zł.

W listopadzie wniósł do magistratu lwowskiego podanie o pozwolenie na otwarcie publicznego biura prawniczego dla spraw administracyjnych skarbowych. Magistrat zezwolił na otwarcie biura, ale zażądał złożenia kaucyi i to sprawę całą opóźniło.

Po przesłuchaniu obwinionego, przerwał przewodniczący o godzinie 1 rozprawę. Dalszy ciąg o godzinie 4 po południu.

KRONIKA.

Lwów 14 czerwca.

Zwracamy uwagę na drukującą się teraz w naszem piśmie nowelę „Żabiak". Autor jej, jezuita, ks. Koloma, jest tem w współczesnej literaturze hiszpańskiej, czem u nas Sienkiewicz,—najznakomitszym pisarzem. Największa jego powieść „Kurita" przetłómaczona już została na wszystkie języki, a na polski aż dwa czy trzy razy. „Żabiak" zaś jest perełką przedziwnej piękności.

Mianowania. Minister rolnictwa zamianował praktykantów rachunkowych przy dyrekcyi lasów i domen, Edwarda Makana i Błażeja Potenckiego asystentami rachunkowymi.

Nowa stacya telegraficzna. Z dniem 15 bm. otwartą zostanie w Woli justowskiej stacya telegraficzna.

Z krajowej Rady szkolnej. Rada szkolna uchwaliła: Zamianować nauczycielami szkół ludowych: Wincentę Kozłowską, nauczycielką w Olszaniku; Apolinarego Godlewskiego w Załucznem; Andrzeja Szlemkę w Repużyńcach; Klemensa Mroczkiewicza w Stróżach; Marcina Żywara w Besku; Emilię Cichocką w Ropczycach; Janinę Tarkowską w Dębicy; ks. Józefa Porębę, katechetą obrz. łać. szkoły wydziałowej żeńskiej w Kołomyi; Józefa Malicza nauczycielem w Łosiaczu; Maryę Burghardtową w Staremmieście; Leona Kieryłowicza w Kołodróbce; Aleksandra Strumieńskiego w Kocinbieńczykach; Mieczysława Justyńskiego w Korczminie; Stanisława Sochackiego i Włodzimierza Krzyżanowskiego w Jezierzanach: Anielę Chuchlankę w Jasionowie; Aleksandra Lisikiewicza w Butli; Karola Tomczykiewicza w Żywcu; Helenę Herzównę, Gizelę Kobakównę i Maryę Jakubską w Brzozowie; Jana Chwieruta w Sporyszu; Janinę Saską w Żywcu: Antoniego Kadyka w Birczy; Szczęsnego Parasiewicza, Jana Faffa i Kornela Jaworskiego we Lwowie; Janinę Kołodziejównę, Teofilę Kołodziejównę, Zofię Kolasińską i Franciszkę Pawlikowską w Mielcu.

Wyścigi. W obec zbliżających się wyścigów konnych we Lwowie namiestnictwo zaprowadziło poprawkę w taryfie fiakrów. Wedle tej poprawki kosztuje fiakier parokonny z miasta do toru Cetnera albo z powrotem 1 zł. 60 ct., dorożka parokonna 1 zł, jednokonna 70 ct. W nocy o 10 ct. drożej.

Zdzierstwo. Otrzymujemy liczne skargi na zdzierstwo zakładów gastronomicznych na wystawie. Podobno niesłychane są ceny, — takie, że aby zjeść obiad, potrzeba wprzódy zaciągnąć pożyczkę hipoteczną na dobra ziemskie lub na kamienicę. Owóż sądzimy, że Dyrekcya wystawy powinna przejrzeć cennik i ostro z tymi postąpić, którzy chcą zdzierać, taka bowiem „parszywa owca" zaszkodzić może całej wystawie, bo odstręczy wszystkich. A swoją drogą publiczność nasza mogłaby (tak jak robili Czesi na swojej wystawie w Pradze, a Francuzi na swojej w Paryżu), przynosić ze sobą w koszykach wiktuały, takie jak szynka, ser, chleb itp. i usiadłszy na ławkach w parku, spożywać te smaczne rzeczy, kupione tanio w mieście. Niechby to raz i drugi zobaczyli panowie restauratorowie, a wnet spuściliby z tonu.

Egzamin dojrzałości odbył się w c. k. wyższej szkole realnej lwowskiej w dniach: od 2—12 czerwca pod przewodnictwem p. Jana Frankego. Za dojrzałych zostali uznani abituryenci: 1) Altenberg Alfred, 2) Bałaban Stefan, 3) Dydyński Włodzimierz, 4) Hess Feliks, 5) Hryniuk Stefan, 6) Konopka Alfred, 7) Kubala Józef, 8) Łopuszański Jan, 9) Romański Ryszard, 10) Rzeczycki Kazimierz z odznaczeniem, 11) Schumer Naftali, 12) Stocker Alfred, 13) Szczypczyk Włodzimierz, 14) Till Stanisław, 15) Wein Klemens, 16) Woroszyński Zygmunt, 17) Załęski Stanisław, 18) Zeunik Michał.

Do egzaminu poprawczego z jednego przedmiotu przeznaczono 8 abituryentów; reprobowano na rok 5; jeden odstąpił w ciągu egzaminu. Z 4 eksternistów uznany został za dojrzałego Matuszowski Jan; jeden został przeznaczony do egzaminu poprawczego z jednego przedmiotu, dwaj odstąpili w ciągu egzaminu.

Barbarzyński mord. Przed rzeszowskim trybunałem sędziów przysięgłych rozpoczęła się rozprawa o morderstwo, popełnione w warunkach tak niezwykłych, iż przebieg jego przejmuje grozą i przerażeniem. W styczniu 1893 ukradł ktoś Franciszkowi Młynarskiemu gospodarzowi z Dąbrowicy koło Niska ruchomości na sumę 130 zł. Podejrzenie padło na Józefa i Antoniego Szabatów z Sierakowa za kordonem. W nocy 21. stycznia 1894 przeszedł przez granicę Józef Szabat w towarzystwie dwóch innych włościan po wódkę do Dąbrowicy, by ją do Królestwa przemycić. W karczmie Basi Katzenberg, do której przyszli, znajdowali się pełniący wówczas wartę nocną Michał Lewko i Sebastyan Niemiec. Ci zobaczywszy Szabata, dali o tem znać poszkodowanemu, tudzież jego zięciowi Kazaneckiemu.

---

100)

WOJCIECH DZIEDUSZYCKI.

ŚWIĘTY PTAK

POWIEŚĆ HISTORYCZNA.

(Ciąg dalszy).

— To zmusisz mnie do tego, że pójdę sam do Mautmura.

— Rób to, jeźli chcesz! Zanieś śmiertelną skargę przeciw pokrewnej rodzinie, a raz jeszcze przekonam się na tobie o tem, czem jest przyjaźń ludzka. A możesz być pewnym, że Ramzes i jego doradzcy chwycą skwapliwie sposobność, aby mnie i moich zgubić.

— Tych samych słów użył Ozortazen, kiedy z nim rozmawiałem i on twierdził, że pełno jest waszych wrogów na dworze Faraona.

— Jeźli Ozortazen tak mówił, mówił bez przyczyny.

— A ty jaką masz przyczynę?

— Gdybyś ją znał, nie namawiałbyś mnie, abym szedł do Faraona i ratował jego państwo od spisków.

— Jakiś masz żal świeży i głęboki, którego nie chcesz przedemną wyjawić. Nie będę się wypytywał o twoje tajemnice; ale jedno ci powiem, obraza twoja słuszna czy nie słuszna, nie może być niczem innem, jak obrazą osobistą; a nikomu nie wolno poświęcać obowiązku w obec praw i bogów dla osobistej obrazy.

Amenemha już dłużej nie mógł rozmawiać. Zerwał się na równe nogi i zaklął Har-Menkiego:

— Na bogów sprawiedliwych! zaniechaj już dalszych nalegań! Gdybyś wiedział co się we mnie dzieje, zlitowałbyś się nademną i dałbyś mi pokój — na dziś wieczór przynajmniej! daj, niech myśl zbiorę, niech się rozpatrzę w chaosie, który mnie otacza i poczekaj jutro, aż sam nie zacznę z tobą rozmowy!

— Niechaj tak będzie, — zakończył Har-Menke, — ale nie zwlekaj zbyt długo z postanowieniem, bo ja długo czekać nie mogę.

Całą noc borykał się Amenemha z myślami swojemi; ani na chwilę nie zmrużył oka. Żal przeciw Ramzesowi teraz dopiero zapłonął w nim jasnym ogniem i chwilami do tego stopnia zagłuszał wszystkie inne uczucia, że pragnął, aby Abibaal naprawdę był uknuł spisek i aby ten spisek był tak mądry, żeby się udał. Był niesprawiedliwym dla Ramzesa, zapominał o tem, że się jego samego radził, że go niejako przestrzegał, aby własnej córki nie swatał z Setim, przeznaczonym do wyższych związków, nie odróżniał Faraona od królowej, od Kerkomamy i od rzeszy dworzan; zdawało mu się, że się cały Egipt z niego naigrawał, z Ramzesem na czele, że mu nie przebaczono dwuznacznej niegdyś roli, że się sprzysiężono na jego poniżenie i na jego zgubę, że Abibaal najwierniejszy sługa i jedyny przyjaciel zawczasu przejrzał to sprzysiężenie i że sam gotował wojnę domową na to jedynie, aby ratować, aby pomścić swojego pana; a wtenczas czuł dla Abibaala jakąś miłość ojcowską i rzewną wdzięczność, a złorzeczył tym wszystkim, którzy Abibaala nie zrozumieli, którzy jemu chcieli przeszkadzać.

Ale pewien rozsądek brał przecie górę; jakkolwiek Hesz-Aker odziedziczyła niejeden rys charakteru po ojcu, były między nimi wielkie różnice i nietylko wiek dziecinny rozgrzany przedwczesnemi namiętnościami wschodniej kobiety, ale także przymieszka czynniejszej, cudzoziemskiej i plebejskiej krwi popychały Hesz-Akerę do szalonych postanowień, od których stary, a zawsze spokojny i aż do słabości ostrożny Amenemha musiał stronić. Zdał sobie jasno sprawę z tego, że niebezpieczeństwo groźne zwisło nad jego głową i że zguba jego rodziny nie da się odwrócić, jeśli wieść o spisku ukrywanym przez Hannę dojdzie do uszu Wielkiej Rady. Mniejsza o to, czy wieść się okaże prawdziwą, czy fałszywą, wystarczy to, że Hanna, Ozortazen i Amenemha o tej wieści wiedzieli i że nic o niej nie donieśli, że ją ukrywali.

I cóż miał Amenemha robić? Czy miał usłuchać rady Har-Menkego? czy miał pójść wprost do Ramzesa i uprzedzić innych donosicieli? Otrzymałby za to nagrodę, nie podobna aby mu nie dano nowych dygnitarstw, miałby odwet nad dworzanami, którzy się z niego naigrawali. Czuł nawet i to, że zasłaniając tron Ramzesa od wielkiego niebezpieczeństwa, upokorzyłby tego władzcę świadomego krzywdy, którą wyrządził rodzinie Amenemhy. Ale to wszystko nastąpiłoby tylko, gdyby się spisek okazał prawdziwym, a Amenemha w ten spisek nie wierzył. Gdyby teraz poszedł do Ramzesa i straszył go widmem sprzysiężenia, na które nie miał żadnych dowodów, mógłby się łatwo wydać człowiekiem nad wyraz nikczemnym, chcącym odzyskać łaskę dworu, za pomocą jakiejbądź, choćby urojonej denuncyacyi i narażającym cały naród swojej żony na okrutne śledztwo i na ponowne zniewagi na to tylko, aby się przypodchlebić.

Iść do Faraona albo do wielkiej rady z wieścią o wieści nie można było, nie narażając się na śmiech i naigrawanie. Trzeba było zatem przedewszystkiem rzecz zbadać i przekonać się o tem, co w tem wszystkiem było prawdy i przy tem został Amenemha. Dwie były drogi, któte przed nim stały otworem. Zrazu myślał, że zawoła Abibaala i że się jego wprost spyta, ale rozsądek odpowiedział mu, że tem niewinnego obrazi, że od winnego niczego się nie dowie. Skoro się zatem nazajutrz spotkał z Har-Menkem, oświadczył mu, że zamierza pójść do Hanny i dowiedzieć się od niej zkąd wie o zamiarach zamierzonych przez Abibaala? Zamiar ten był niesmacznym dla kapłana; gdyby był szedł za głosem instynktu, byłby próbował odradzać, ale czuł zanadto dobrze, że myśl była słuszną; musiał ją przeto pochwalić, a dodał do niej to tylko, że zażądał, aby sam był obecnym przy rozmowie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Obaj przybyli do karczmy. Kazanecki chwyciwszy Szabata pod szyję, uderzył go w twarz, rzucił na ziemię, następnie związał i pod pretekstem oddania wójtowi albo żandarmeryi, wyprowadził go z karczmy. W rzeczywistości zaś zaprowadzono Szabata do chałupy Kazaneckiego. Tam związano mu ręce sznurem i wezwano, aby się przyznał do kradzieży. A gdy Szabat nie uczynił tego, usiłowali Kazanowski, Młynarski, Niemiec, Sobina i inni szeregiem wymusić zeznanie do tego. Nasamprzód wykręcano mu ręce i kości, zasadziwszy kij pomiędzy pęta, potem Kazanecki w butach skakał mu po piersiach. Młynarski kopnął leżącego na ziemi między oczy. Gdy to nie pomagało do przyznania, powieszono Szabata za nogi i bito kijami po piętach, aż się laski połamały. Młynarski kazał zapalić w piecu, rozpalić gwóźdź żelazny i piec nim stopy Szabata. I ten rodzaj tortur nie odniósł skutku, więc rozpalono siekierę do czerwoności i przypiekano nią nogi Szabata. Wreszcie rzucili się na niego z kijami z okrzykiem: „zabić złodzieja! i wyrzucić za granicę!" przyczem Młynarski uderzył głowę Szabata o ziemię, tak, że aż się podłoga trzęsła. Szabat skonał około godziny 9 rano. Przy sekcyi trupa oprócz pomniejszych uszkodzeń stwierdzono złamanie 18 żeber. Prokuratorya oskarża Kazaneckiego, dwóch wartowników i jeszcze parę osób o zbrodnię gwałtu publicznego, morderstwa itp. Charakterystycznym jest fakt, iż tylko jeden z oskarżonych Michał Lewko, radny gminny, tłómaczy się stanem pijaństwa, wszyscy inni zaś współobwinieni zgodnie zeznają, iż żaden z nich podówczas pijanym nie był. Rozprawa potrwa parę dni.

Stan dróg koło Lwowa. Piszą nam z miasta: Mając interes do cegielni kregowej Baissa, położonej 1 kilometr od rogatki Zielonej, chciałem nająć fiakra, lecz oświadczył z [illegible], a także nie dał się namówić, tłómacząc się, że nie chce narażać konia na okaleczenie, a dorożki na połamanie. Nareszcie za stosunkowo wysoką cenę 3 zł. zgodził się jeden z odważniejszych zawieźć mnie do cegielni.

Już w ulicy Zielonej uwierzyłem opowiadaniom dorożkarzy, lecz od góry Zieloną droga przeszła wszelkie moje oczekiwania: kompletnie wybój na wyboju.

Zaczęło się przeklinanie dorożkarza i jazda krok za krokiem. Tymczasem wprost cegielni, pierwszej przed rogatką, koń zakulał, wykręciwszy sobie nogę na dziurach i jazda zaczęła się odbywać nie krok za krokiem, ale krok naprzód a dwa kroki w tył. Może z pół kilometra dalej pękł resor u dorożki i skończyła się podróż, którą odbywałem z placu Bernardyńskiego, nie dojechawszy do rogatki, przeszło trzy kwadranse.

Nie wiedząc innego ratunku poszedłem dalej piechotą i nie żałuję tego, gdyż zobaczyłem rzeczy przechodzące najśmielsze wyobrażenia.

Zaraz za rogatką Zieloną stoją fury naładowane cegłą a furmani pozaprzęgawszy po 10 koni silnie, lecz i niemiłosiernie wyciągali jeden drugiego przy pomocy kilkunastu robotników. Kawałek dalej powtórzyła się ta historya z drugiemi furami. Dowiedziałem się na miejscu, że to jest droga miejska, a dalej krajowa. Z powrotem nająłem wózek właściciela cegielni i wycierpiawszy straszliwe męki jechałem 1 kilometr drogi z za rogatki aż na ulicę Zieloną nie mniej, nie więcej tylko półtorej godziny i to ciągle z góry.

Franciszek Kamieński.

Wielka pani. Kto w Polsce jest wielką panią? Czy pierwsza lepsza dama jeżdżąca karetą? Czy może każda księżna lub hrabina? Nie, nie jedno ani drugie. Możnaby mieć miliardy i wszystkie możliwe tytuły, a jednak nie być w Polsce „wielką panią". W wspomnieniu o ś. p. ks. Marcelinie Czartoryskiej pisze p. K. M. Górski w *Czasie* co następuje:

„Być wielką panią znaczy u nas tyle, co być [illegible] bardziej wykwintną, wykształceniem, kulturą i dobrocią, a sercem i umysłem więcej [illegible] i pociągającą. [illegible] środek odróżniania się w świecie. U nas w Polsce dziś się to chyba pod cudzoziemskiem tchnieniem."

Wyjątek z pamiętnika. W roku 1841 byłem uczniem gimnazyum w Nowym Sączu. Profesorem naszym był Jezuita ks. Jenny, Tyrolczyk, człowiek wykształcony, nadzwyczaj pobożny i pracowity. Szkoła Jezuici obchodzili się z nami łagodnie, dbali o naukę, o moralność, o stosunki zdrowotne, i zabawy nasze. Chodziliśmy z nimi na śligawkę, na rozmaite wycieczki, gdzie [illegible] chór śpiewaków i własną muzykę.

Z czasu tego utkwił mi w pamięci sen, którego spełnienia ciągle z pociechą oczekuję. Śniło mi się, że w gimnazyum prześladował mnie szatan, gonił za mną po korytarzach, aż nareszcie zapędził mnie do klasy i zamknął drzwi za sobą. Nie było już wyjścia i uważałem się za zgubionego. Gdy już szatan miał mnie pochwycić, zjawił się Pan Jezus, wysoki, ubrany w białe, przepasany białym sznurem, stanął przed ciemnym, wziął mnie za rękę i zachował przed szatanem. Obudziłem się i podziękowałem za ratunek.

W roku 1846 byłem uczniem pierwszego roku filozofii na uniwersytecie lwowskim. Nadszedł czas egzaminu z pierwszego półrocza. Nasamprzód zdawaliśmy egzamin z religii, a potem następował egzamin z matematyki. Byłem przygotowany należycie na pierwszy egzamin z religii, ale i co do drugiego nie byłem pewny. W sam dzień egzaminu poszedłem do kościoła OO. Bernardynów i u grobu św. Jana z Dukli prosiłem o pomoc, abym zdał egzamin pomyślnie. Było nas w klasie 360 uczniów, pytano więc na chybił trafił. Wpadłem [illegible]. Tymczasem Lemoch zawołał mnie do swej tablicy. Oho, pomyślałem, będzie bieda, kiedy już jest porządek... Zadaje mi pytanie [illegible]. Na szczęście przypomniałem je sobie z wykładu szkolnego i [illegible] wyjaśniłem. Zadaje mi drugie pytanie znowu [illegible], a byłem pewny, że nie podołam, [illegible]. Lemoch [illegible]. Jan z Dukli, który w roku 1860 wyratował mi 4-ro letniego synka [illegible]. W roku 1862 [illegible] Waśniewski [illegible] kościoła świętej Anny. Ks. Waśniewski był powszechnie lubiany, kochali go Polacy, Rusini, Niemcy i Żydzi. Był to prawdziwy pasterz, który owce swoje kochał. Wykształcony, religijny, pracowity, miłosierny, [illegible]. Gdy restaurował kościół, zbierał składki na ten cel nie tylko u katolików, ale i u żydów, zamieszkałych w jego parafii, którym gdy tłómaczył, że z tego i dla nich będzie wygoda, odpowiadali mu, że choćby nie było żadnej korzyści, żeby dać, to każden z chęcią da. Dach kościoła pobijał blacharz żyd, a że ks. Waśniewski był dla każdego uprzejmym i chętnie z każdym rozmawiał, więc blacharz opowiadał mu sen. „Proszę wielmożnego ks. proboszcza, mówił, śniło mi się, że mi się bardzo pić chciało i napiłem się wody z tej studni, co przed kościołem i bardzo mi się dobrze zrobiło. A ks. Waśniewski mu na to: „Ano, to widać znak Boży, abyś się wychrzcił". Jakoż po przygotowaniu należytem blacharza z całą rodziną, został ochrzczony w kościele św. Anny. Oprócz tego jeszcze kilku żydów wychrzcił ks. Waśniewski. W parafii księdza Waśniewskiego mieszkał luter, który z obrządku katolickiego przeszedł na luterański. Gdy ciężko zachorował i już nie było nadziei, żona jego katoliczka, przybiegła do ks. Waśniewskiego z prośbą, by się udał do umierającego, celem nawrócenia go. Ks. Waśniewski natychmiast zebrał się i wyszedł poszukać dorożki, bo było daleko do mieszkania chorego. Na szczęście nadjechał izraelita po niemiecku ubrany, dążący na dworzec kolejowy. Ksiądz Waśniewski zatrzymał go i prosił o odstąpienie dorożki, której potrzebuje w sprawie religijnej, nie cierpiącej zwłoki. Izraelita bez namysłu odstąpił dorożkę ks. Waśniewskiemu z oświadczeniem, że dla niego każdy wszystko chętnie zrobi. Gdy ksiądz Waśniewski przybył do chorego, ten obrócony do ściany nie chciał z nim rozmawiać. A było kilka osób w pokoju. Otóż ks. Waśniewski odezwał się „Jeżeli moja chęć nie pomaga, udajmy się z prośbą do Matki Boskiej i zaczął odmawiać litanię loretańską. Jeszcze nie doszedł do połowy, gdy chory obrócił się, skinął na ks. Waśniewskiego, wyspowiadał się, a w godzinę potem umarł jako katolik. W roku 1873 okazała się żonie mej, ś. p. matka moja we śnie nad ranem i poleciła jej, iżbyśmy się zapisali do bractwa Serca Jezusowego, co też uczyniliśmy niezwłocznie.

Spisałem to wszystko dla publicznej wiadomości dla tego, by ludzie skłonni do nowatorstwa i niedowiarki, nie dali się bałamucić nowym doktrynom, ale trzymali się silnie wiary ojców naszych. Niewiara nie szkodzi nikomu, tylko nie wierzącym. Wszystko, co tu podałem, mogę w części sam, a w części wspólnie z żoną moją zaprzysiądz, a z podania tego żadnej materyalnej korzyści nie mam, czynię, to więc z obowiązku moralnego, w nadziei, że się nie zawiodę w rezultacie. *S. F.*

† **Łucya z Ostaszewskich Gniewoszowa** przeżywszy lat 93, zmarła 7. czerwca b. r. w Jabłonicy polskiej a z nią zgasła ozdoba niewiast ziemi sanockiej. Ś. p. Łucya bowiem po przedwczesnym zgonie męża swego przez cały przeciąg swego życia z niezwykłą gorliwością pracowała nad wychowaniem 5 swych synów i 3 córek, kształciła swe dzieci w pobożności i wpajała w nie cnoty dawnych przodków swoich. To też doczekała się sędziwa staruszka prawdziwej pociechy — albowiem synowie zajmują wybitne stanowiska w społeczeństwie i kraju. Najstarszy jest hofratem, drugi jenerałem, trzeci pułkownikiem, czwarty marszałkiem Rady powiatowej ziemi sanockiej, piąty pomimo że jest głuchoniemy odbywszy nauki w instytucyi wiedeńskiej stał się przyjemnym i wykształconym. Również dozwolił zmarłej Wszechmocny cieszyć się szczęściem swych córek; jedna bowiem poświęciwszy się życiu klasztornemu starszą jest przełożoną — Helelową i Stanisławową Leszczyńską obdarzył Bóg dziećmi, których potomstwem, wnukami i prawnukami cieszyła i zajmowała się staruszka aż do ostatniej chwili zgonu. Na dwie godziny przed zgonem poleciła zamknąć drzwi od drugiego pokoju, aby jej konania nie słyszał jej prawnuk Jan Morawski, który wówczas leżał chory na tyfus. Wkrótce potem pobłogosławiwszy wszystkich otaczających poleciła synom, ażeby karty pogrzebowe nie w rodzaju zaprosin lecz powiadomienia rozesłano, również ażeby nad grobem nie przemawiano, co wypowiedziawszy usnęła w Bogu. Bogobojna i zacna ta staruszka nie tylko opiekowała się rodziną, lecz także niezwykłą miłością otaczała lud, opieką swą i radą wspomagała i pocieszała każdego, kto tylko udał się w jakiej potrzebie. To też lud ten dowiedziawszy się, że eksportacya zwłok nastąpi 10. b. m. z Jabłonicy do Nowosielec do grobowca familijnego pomimo pory nocnej tłumnie przy szosie kolejowej żegnał drogie zwłoki swej opiekunki a rzewne twarze stojącego ludu oświetlone pochodniami przedstawiały w tej poważnej chwili wzruszający i imponujący widok.

Dnia zaś 11 już od 2 godziny po południu z wszystkich stron powiatu sanockiego dążyły nieustannie powozy i wózki do Nowosielec. — Jawiły się tu wszystkie stany: liczne grono księży obrz. łać., oraz dziekan obrz gr. kat. w raz z kilkoma księżami (ci ostatni bezinteresownie), szlachta okoliczna szefowie i urzędnicy wszystkich urzędów, dyrektor gimnazyum sanockiego, profesorowie jakoteż część młodzieży szkolnej; słowem tak licznego zjazdu nie pamiętają tu wiekiem najstarsi. Każdy kto znał ś. p. Łucyą Gniewoszową, spieszył na obrzęd pogrzebowy, aby oddać ostatnią usługę zmarłej w dowód szacunku, czci i szczerego żalu, na który też zacna staruszka w zupełności zasłużyła.

Po odbytej ceremonii pogrzebowej znaczna część przybyłych ze stron dalszych z powodu spóźnionej pory odjechała — bliżej mieszkający udali się do syna zmarłej Feliksa Gniewosza marszałka powiatu sanockiego, który też z dostojną Swą małżonką, braćmi i pozostałą rodziną zmarłej z niezwykłą uprzejmością i staropolską gościnnością przyjmował uczestników obrzędu pogrzebowego.

Obrzęd ten cały prawdziwie patryarchalnie odbyty przez długie lata tkwić będzie w pamięci mieszkańców ziemi sanockiej. *B.*

Człowiek-struś. Miano to noszą sztukmistrze jarmarczni, którzy zjadają wszystkie dane im przedmioty. Otóż niedawno taki sztukmistrz dostał się do londyńskiego szpitalu. Odpowiedzi chorego nie mogły naprowadzić lekarzy na źródło choroby. Wezwano tedy chirurgów i otwarto choremu żołądek.

Wówczas ukazały się wnętrzności przedziurawione w kilku miejscach, przyczyną zaś tych okaleczeń okazały się białe blaszki, oraz haczyk metalowy, zgięty silnie około cienkiego pasa skórzanego. Po operacyi zapytywano pacyenta o pochodzeniu tych przedmiotów. Wyjaśnił, iż dawał na jarmarkach i zabawach ludowych przedstawienia, polegające na połykaniu przedmiotów twardych, jako to: sztuk monety, kawałków blachy, papieru, bielizny, łańcuszków od zegarka, gwoździ, kauczuku itp., „ale — dodawał — wszystko to przechodziło jakoś". Tymczasem okazało się, iż „wszystko nie przechodziło jakoś", bo poczciwiec, podziurawiony fatalnie na wnętrzu, umarł w szpitalu na zapalenie trzewiów. Dokonano autopsyi, która wykazała, iż na przestrzeni 45 centymetrów trzewia były napchane przedmiotami, nic wspólnego z pożywieniem ludzkiem nie mającemi. Znaleziono tam mianowicie: 40 kawałków korków od butelek, 30 kawałków blachy, 9 sztuk miedzianej monety dziesięciocentymowej, kółko żelazne, 12 kawałków cybucha, kulę ołowianą, pierścień kauczukowy; 3 kawałki miedzi, z uwiązanemi na końcach nićmi, mnóstwo kawałków gazet, kawał skóry długości 25 centymetrów, zakończony na obu końcach żelaznemi haczykami, sznurek z nawiązanemi korkami od butelek i kawałkami mosiądzu.

Nic dziwnego, iż „człowiek-struś" padł ofiarą swojego zawodu...

Zwrot znamienny. W naszych sferach literackich wywołał wielkie wrażenie zwrot, jaki się dostrzegać daje w pracy T. T. Jeża (Zygmunta Miłkowskiego). Pisarz ten, niezaprzeczenie bardzo zdolny, ale też tembardziej szkodliwy, hołdował dotąd kierunkowi, który po nad wszystko stawiał rozum, wierzył tylko w naukę, deptał religię, pomijał Kościół katolicki, nienawidził tradycyę i to wszystko co przeszłością trąci itd. Tymczasem teraz wystąpił z nowelą pod tytułem: „Twórca Jupajdi", w której oświadcza otwarcie, że zbankrutowała cała ta zachwalana ateistyczna wiedza XIXgo stulecia. Bohater opowiadania, Müller, Niemiec, posiadł wszystkie nauki i został doktorem sześciokrotnym: teologii, medycyny, nauk przyrodniczych, matematyki, prawa i filozofii. W czasie długoletnich studyów uniwersyteckich uczył się, krytykował i przesiadywał w knajpie, gdzie zaimprowizował na podobieństwo „Gaudeamus igitur" nową pieśń studencką: „Jupajdi". Więcej słów nad ten niezrozumiały wyraz nie było, tylko „jupajdi" powtarzano solo i chórem na rozmaite melodye.

Tem się dr. Müller ostatecznie wsławił. Kiedy już szósty dyplom miał w kieszeni, począł się zastanawiać nad tem, co ma robić na świecie? Myślał długo, ale wszystkie plany go nie zadawalniały. Wreszcie powiedział: „będę filozofem" i napisał do jednego z uniwersytetów, że pragnie się habilitować. Senat akademicki z radością przyjął propozycyę. Uniwersytet okryje się chwałą, skoro sześciokrotny doktor zasiądzie na katedrze. Wykład wstępny miał się odbyć w październiku, wpierw jednak dr. Müller pod wpływem logiki swoich idei o nauce czystej, o zgodności teoryi i czynu, chcąc zasady swoje w życie wprowadzić i ludzkość do stanu natury zwrócić, wyszedł na ulicę w stroju Adamowym. Przyprowadzony na policyę, zaczął wykładać swoje teorye komisarzowi, potem policyjnemu lekarzowi — a w końcu w domu zdrowia, — gdzie go musiano zamknąć.

Można sobie snadno wyobrazić, jakie wrażenie wywołała taka nowela, zwłaszcza w tych sferach młodzieży literackiej, które dotąd uważały Jeża za swego przewódzcę i pod jego chorągwią szły do ataku na wiarę, na rodzinę i na społeczeństwo.

Bezpłatni prenumeratorzy. Bardzo często otrzymujemy od naszych prenumeratorów reklamacye i skargi, że nie otrzymują naszego pisma, mimo tego, że administracya nasza każdy numer wysyła jak najregularniej. W sprawie tej od jednego z naszych prenumeratorów otrzymujemy list, który wyjaśnia przyczynę tego tajemniczego znikania dzienników, porywanych przez tych, którzy nie chcą płacić prenumeraty, a chcieliby czytać najświeższe wiadomości. Czytamy w tym liście: „Prenumerator dzienników na prowincyi jest pożałowania godnym człowiekiem. Mieszka w głuchej wiosce lub na odludziu. Osamotniony pożąda wiadomości ze świata, bo dziennik zastępuje mu towarzystwo i wszelkie przyjemności, jakie są udziałem ludzi mieszkających w miastach lub nawet w miasteczkach. Z upragnieniem oczekuję przybycie posłańca z poczty, aby po pracy, rozczytując się w dzienniku zapomnieć chociaż na chwilę o troskach i kłopotach codziennego życia. Niestety. Nie zawsze posłaniec przynosi ów dziennik. W czasie, gdy wiadomości są najciekawsze, gdy odbywa się jakiś ważny fakt lub kryminalny proces — nie ma dziennika. Daremne reklamacye: na poczcie „wzięto" odpowiadają. Właściwie po ludowemu należałoby powiedzieć „Coś wzięło". To „coś" jest właśnie największem utrapieniem prenumeratora na prowincyi. To „coś" zalicza się do inteligencyi i bardzo się obraża, gdy kto o tem powątpiewa, pomijając stan, godność i osobę. To „coś" uważa wydatek na książki lub dzienniki za grzech śmiertelny, który nigdy i nikomu odpuszczonym nie będzie. To „coś" uważa za obowiązek sumienia pożyczonej książki nigdy nie oddawać, a konfiskować dzienniki, gdzie się uda i jak się uda. Nasuwa się pytanie, co robi „coś" z konfiskowanymi dziennikami. Czy czyta je? Tak. Czyta kronikę, lub proces kryminalny, ale bardzo pobieżnie, bo natychmiast nachodzi go refleksya, że traci czas, który może użyć na obopólne obmawianie się lub grę w karty. To „coś" jest bardzo rozpowszechnionem w Galicyi. Zamieszkuje wyłącznie małe miasteczka. Jeżeli stopień kultury jakiegoś kraju ocenić można z ilości zużytego papieru, to gdyby kraj nasz posiadał tylko takich „cosiów" mieściłby się w ostatnich rzędach".

Ofiary. Na dar honorowy dla ks. arcybiskupa Isakowicza złożyli na nasze ręce p. Alojzy Braun w Starej Soli 1 zł., J. Dwernicka w Rożniatowie 50 ct. Razem 29 zł. 50 ct.

Zguba. W Hałuszczyńcach znaleziono przed dwoma tygodniami złoty damski zegarek, po który dotychczas nikt się nie zgłosił. Poszkodowany właściciel może go odebrać za pośrednictwem zwierzchności gminnej w Hałuszczyńcach.

Stan powietrza. T. o 7 rano + 10, w poł + 12° R. Barom. 752. Wznosi się.

Trwały materyał.

W magazynie bławatnym.

— Proszę o materyał wełniany, aby tylko był trwały.

— Pani dobrodziejka życzy sobie czegoś trwałego? Aha! Już mam! Oto jest...

— Doprawdy, takie trwałe?

— Czy trwałe?! Pani dobrodziejko, dwanaście lat u mnie na składzie leży i ani drgnie.

Na ławce w Ogrodzie Jezuickim.

Pani. Jak ciepło!

Pan. Zupełnie jak we Włoszech.

Pani. Pan był we Włoszech?

Pan. Nie, pani.

Panorama racławicka na wystawie otwarta codziennie od godziny 8 rano do 8 wieczorem. Wstęp 50 ct., w poniedziałek 1 zł.

Literatura i Sztuka.

* **Dr. Zygmunt Uranowicz**, profesor gimnazyalny: „Żywot Szymona Szymonowicza Bendońskiego". Złoczów 1894. W przedmowie do swej pracy powiada autor: „Nie mam właściwie nic takiego do powiedzenia, coby miało zwrócić uwagę czytelnika na treść mego dziełka, jedynie tylko to, że nic nowego nie zawiera w sobie; zebrałem bowiem wszystko, co dotąd napisano o Szymonowiczu, a co mi było wiadomem, porównałem jedno z drugiem i to, com uważał za prawdziwe, podałem jako prawdę, odrzucając to, co mi się zdawało, jakoby było wątpliwe". Pomimo pełnego skromności wstępu, książka dra Uranowicza wyjaśnia jednak kilka szczegółów, odnoszących się do życia poety, a ponieważ jest ładnie napisana, przeto dla amatorów epoki klasycznej przedstawia znaczny interes.

* **Kobiety Bismarka.** Po najrozmaitszych studyach i broszurach, poświęconych działalności żelaznego księcia, przyszła kolej i na tę kwestyę. Jaką rolę kobieta odgrywała w życiu Bismarka? Niejaki p. Kohut zajął się wyświetleniem tej sprawy i pojawiła się przed tygodniem książeczka u Fryderyka Stahna p. t. „Bismark i kobiety", książeczka mała lecz ciekawa. Oto co w niej czytamy:

Około r. 1846 Bismark, jako młody człowiek, wyglądał dzielnie i prezentował się imponująco. Mieszkając na prowincyi, zwracał na siebie uwagę pięknych sąsiadek, które ujmującym uśmiechem witały młodzieńca, wabiąc go ku sobie. Bismark chętnie z sąsiadkami rozmawiał, lubił z niemi żartować, ale serca między niemi nie zostawił. „Robię znajomości" pisał wówczas „spotkałem nawet ładną dziewczynę, cóż kiedy jej płeć wkrótce się popsuje i twarz nabierze czerwonej barwy. Byłem w tej dziewczynie zakochany 24 godzin."

Bywał wiele, wśród kobiet obracał się zręcznie, nie zapłonął jednak miłością. Stało się to dopiero wtedy, gdy poznał przyszłą swą żonę z domu Puttkamer. Poznał, od razu się oświadczył, został pokochany wzajemnie i dnia 28 lipca 1847 wziął z nią ślub. Później, zwracając się do swej małżonki, zawsze mówił: „Mein liebes Herz."

Pani Bismark nie cierpiała Francuzów. Kiedy Bismark dnia 29 września 1870 znajdował się w Wersalu, zapytany przez ks. Alberta, co hrabina porabia, odpowiedział:

— Hrabina ma się bardzo dobrze, odkąd córce lepiej, jednakowoż cierpi ona na wielką nienawiść Francuzów; chciałaby wszystkich wytępić. Do końca życia księżna Bismark nie przestała być wyłącznie kobietą, strzegącą domowego ogniska. Na męża w kierunku politycznym nie oddziaływała nigdy i zdania swego mu nie narzucała, za to w domu jest niepodzielną panią i ma nad mężem władzę nieograniczoną.

To jedyna kobieta Bismarka...

Wbrew zwyczajowi, praktykowanemu zwykle przez dyplomatów i mężów stanu, Bismark nie uprawiał żadnych w życiu miłostek. Zwykle na horyzont dyplomatyczny wypływa jakaś gwiazda — artystka, lub śpiewaczka, lub aktorka; Bismark nigdy nie dał się takiemu blaskowi oślepić. W teatrze bywał nawet bardzo rzadko. Raz przedstawiono go znanej śpiewaczce, Henryce Sontag, a to dla tego, że była żoną ministra, kolegi jego, hrabiego Rossi.

Potem tak się w liście do Manteuffla o niej wyraził: „Wyładniała, pisze, hr. Rossi; na scenie śpiewa porywająco „Lunatyczkę" i „Córkę regimentu" i jest w swoim żywiole, w salonie czuje się jakby skrępowaną. Doprowadza do rozpaczy w hotelu służbę, bo siada do kolacyi koło pierwszej w nocy".

Zdarzyła mu się przecież przygoda niespodziana. Gdzieś, kiedyś poznał Lukkę, budzącą wówczas zachwyt w Europie całej. W roku 1865 Bismark znajdował się w Ischlu. Spotyka go Lukka i błaga, żeby się poszedł z nią razem fotografować. I Bismark nie śmiejąc odmówić pięknej śpiewaczce, poszedł do fotografa. I oto obok znakomitej artystki siedział mąż stanu, Bismark. Co za tryumf i... co za reklama dla śpiewaczki. W parę dni cała publiczność posiadała fotografie tej oryginalnej pary. Zaczęto o tem głośno mówić, aż rozkazano fotografowi kliszę zniszczyć. Miał z tego powodu dużo nieprzyjemności Bismark; musiał się nawet przed żoną uniewinniać.

Głosy publiczności.

Z Ostrej Mogiły w powiecie Skałackim otrzymaliśmy następujące pismo: W roku 1891 zaasekurowałem me plony w towarzystwie „Riunione Adriatica di Sicurta". Grad nawalny zniszczył me pola, o czem zawiadomiłem to towarzystwo. Przyjechał likwidator, lecz nie przyznał żadnego odszkodowania. Zażądałem więc zesłania komisyi powtórnie. Kazano mi złożyć na koszta komisyi 200 zł. Po kilku dniach przybył ów likwidator z dwoma innymi i orzekli, że żadnej szkody u mnie nie ma. W kilka dni powtórnie spadł grad i wyrządził jeszcze większą szkodę. Zawiadomiłem więc towarzystwo, że miałem powtórnie grad. Kazano mi złożyć na koszta 100 zł. w przeciągu 24 godzin. Mając pod ręką tylko 30 zł. posłałem tę kwotę i napisałem, że resztę należytości likwidatorowi do rąk złożę. Odesłano mi pieniądze i zawiadomiono mię listownie, że sprawę złożono ad akta. Napisałem więc do dyrekcyi towarzystwa w Tryjeście, żądając wydelegowania komisyi likwidacyjnej, odpowiedziano mi jednak, że co filia towarzystwa we Lwowie orzekła na tem Dyrekcya polega. Więc zmuszony byłem przeprowadzić sądownie oszacowanie szkody z pomocą mężów zaufania, którzy wobec pełnomocnika wysłanego przez towarzystwo pod przysięgą zeznali, że zasiew prawie w połowie przez grad został zniszczony. Na tej podstawie zmuszony byłem wytoczyć proces towarzystwu, lecz przegrałem w dwóch instancyach w Tryjeście, a w trzeciej jeszcze nie wiem jak się rozstrzygnie w Wiedniu.

Władysław Janiszewski.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 12 czerwca.

(*Z*) Na horyzoncie politycznym pojawiła się nowa chmurka i wywołuje pewnie zaniepokojenie na giełdach. Oto sułtan marokański umarł, a śmierć jego w obec nieuregulowanej kwestyi następstwa tronu może dać nowy powód do zatargów między państwami europejskiemi, zwłaszcza temi, które rywalizują o wpływy na północnem wybrzeżu Afryki. Na targu paryskim wywołał już ten wypadek bardzo znaczną zniżkę walorów hiszpańskich. Naszej giełdy śmierć sułtana marokańskiego nie dotyka wprawdzie bezpośrednio, wszelako wobec tego, że giełda nasza w ruchach swych zależna jest przeważnie od Berlina i Paryża, mieli i nasi spekulanci dziś związane ręce. To też na targu walorów bankowych był zastój kompletny, a także renty okazywały tendencyę zniżkową. Dopiero w obrocie wieczornym, gdy znana już była deklaracya złożona przez p. Wekerlego w sejmie węgierskim, ożywił się ruch cokolwiek.

Jak wczoraj tak i dziś dominowały na targu walory górnicze, ruch był w nich znaczny, a kursa podniosły się. Monety złote podrożały. Losy tureckie cieszyły się dziś znacznym popytem, mówiono bowiem, że już tymi dniami ogłoszoną zostanie sułtańska irade o podwyższenie kwot, wypłacanych za wygrane. Z Berna donoszą, że rząd szwajcarski zamierza dążyć do stopniowego zlikwidowania unii łacińskiej i następnie ma zaprowadzić u siebie walutę złotą. Podobno szwajcarski minister finansów wypracował już odnośny projekt ustawy. Przeprowadzenie tej akcyi wymagałoby oczywiście kilkunastu lat.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 349 75, węgierskie 433·—, Anglobanki 152·25, Uniony 258·50, Bankvereiny 126·70, Länderbanki 246·25, Ludwiki 215·75, Czerniowieckie 276·75, Elbethale 260·50, Renta papierowa 98·30, srebrna 98·15, austryacka złota 120·80, 4% austr. renta wal. kor. 97·95, węgierska złota 120·70, 4% węgierska renta wal. kor. 95·10, dukat 5·90—, 20-frankówka 9·96½, marki 12·26, ruble 1·34½.

§ **Dyrekcya kolei państwowych** zawiadamia, że szlak kolejowy (dolno-kraiński) Grosslupp-Rudolfswert-Strasche ze stacyami Schalna (przystanek), Weixelburg, Sittis, St. Veit koło Sittich (przystanek), Rodokendorf, Grosslack, Treffen, Hönigstein, Rudolfswert i Strasche został z dniem 1 czerwca oddany do użytku publicznego. Stacye wyżej wymienione otwarte zostały dla ruchu ogólnego, przystanki zaś tylko dla ruchu osobowego i pakunkowego.

§ **Z wiedeńskiego targu bydła.** Na poniedziałkowy targ przypędzono 4104 sztuk bydła, a w tej liczbie z Galicyi 974 sztuk opasowych i 143 chudych. Nie sprzedano 57 sztuk.

Płacono: galicyjskie 54 do 64·00 zł., węgierskie 54—65·00 zł., z innych krajów koronnych 55 do 69·00 zł., krowy 24—34·50 zł., za 100 kilo żywej wagi.

Bydło chude od 22 do 90 — zł. za sztukę.

Telegramy „Przeglądu".

Wiedeń 14 czerwca. Nieustająca komisya prawnicza załatwiła 477 paragrafów projektu nowej procedury cywilnej i ukończyła w ten sposób obrady nad trzema pierwszemi częściami tego przedłożenia. Minister sprawiedliwości w przemowie swej podniósł, że to, co komisya w tak krótkim czasie zrobiła, przewyższa o wiele jego oczekiwania i jest rękojmią równie pomyślnego rezultatu jesiennych obrad nad tem przedłożeniem w Radzie państwa.

Peszt 14 czerwca. Komisya ekonomiczna sejmu węgierskiego przyjęła bez zmiany traktat handlowy z Rosyą.

Debata nad ślubami cywilnymi w izbie magnatów odbyć się ma w przyszłym tygodniu. Rząd stara się podobno o kompromis z opozycyą magnatów i godzi się na taką zmianę swego projektu, ażeby urzędnik państwowy, dający ślub cywilny nowożeńcom, obowiązany był upomnieć ich, ażeby poszli także do kościoła po błogosławieństwo.

Wiedeń 14 czerwca. *Wiener Zeitung* ogłasza, że Cesarz sankcyonował uchwaloną przez Sejm galicyjski ustawę krajową, zezwalającą gminie Strusowa na pobór opłat gminnych od spirytusu, miodu, piwa i innych napojów po koniec roku 1899.

Rzym 14 czerwca. Nicotera, wódz włoskich radykałów, umarł tu wczoraj. To też wczorajsze posiedzenie parlamentu poświęcone było wyłącznie jego pamięci. Prezes izby i jedenastu posłów ze wszystkich stronnictw w gorących słowach podnosili patryotyzm zmarłego i zasługi przezeń położone, poczem izba na znak żałoby uchwaliła zawiesić posiedzenie.

Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona na siebie za nią żadnej odpowiedzialności.

Lwów dnia 14 czerwca. (Z Izby handlowej).

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 214·75 do 217·75. Kolej Lwow.-Czern. Jassk. po 200 zł. w. 275·75 do 278·75 Banku hipotecznego po 200 zł. w. a. od 414·— do —·—.

Listy zastawne za 100 zł.: Banku hipot. gal. 5% losow. w 40 lat. 101·10 do 101·80, 5% z 10% prem. 109·80 do 110·50, 4½% los. w 50 lat. 100·— do 100·70. Banku krajowego 4½% los. w 51 lat. 100·30 do 101.—. Banku krajowego 4% los. w 57 lat. 97·25 do 97.95 Tow. kredyt. gal. ziemsk. 4% (I. emisya) 98·10 do 98·80. 4% los. w 41½ lat. 98.10 do 98·80, 4% los. w 56 latach 97·25 do 97·95. 4½% los. w 52 lat. —·— do —.—.

Obligi za 100 zł.: Galic. funduszu propinacyjnego 4% 96·90 do 97.60. Bukow. funduszu propinacyjnego 5% 101·80 do 102·50 Kom. banku krajowego 5% w. a. II. em. 102·80 do 103·—, Pożyczki krajowej 6% 105·— do —·—, 4½% 100·— do 100·70 4% z roku 1891 96·75 do 97·45 4% z roku 1893 97·— do 97·70.

Monety. Dukat cesarski 5·85 do 5·95 Napoleondor 9·92 do 10·12. Półimperyał 10·10 do —.—. Rubel rosyjski srebrny czy papierowy 1.34 — do 1.35 — 100 marek niemieckich 61·05 do 61·50.

Wiedeń dnia 14 czerwca. (godz. 11 w południe. Kredyty 350.65, kred. węgierskie —.—, Anglob. 152.50, Uniony —.—, Bankvereiny —.—, Länderbanki 246·80, Akcye tytoniowe 212·50, Staatsbahny 340·—, Lombardy (z kup.) 103.— Elbethale —. Renta papierowa —.—, Renta węg. 4% kor. —·— Renta węg. złota 4% —.—, Alpiny —.—, Marki 61·32, Losy tur. —.—.

67)

KRÓLOWA ZŁOTA.

POWIEŚĆ

PAWŁA d'AIGREMONT.

(Ciąg dalszy).

— Jak można tak upadać na duchu — rzekł do niego — będąc tak kochanym jak pan nim jesteś i przez taką istotę jak Helena Rochebelle?

— Ach, gdybym był pewnym — odrzekł Robert — że wszystkie te oszczerstwa nie osłabią jej wiary we mnie, nie dbałbym o nic.

— Wierz mi pan — rzekł pan Gervais — iż pracuje ona w sprawie pańskiej z energią, wyrównywającą jej wierze i miłości.

Od tego czasu Robert jest pełen ufności w przyszłość.

Helena rozpłakała się.

Gdy uspokoiła się nieco, zapytała:

— Więc powiedz mi, mateczko, cóżeś postanowiła? Czy zawsze masz zamiar odwiedzić Roberta w więzieniu?

— Dziś więcej niż kiedykolwiek.

— Ale czy pan Combremont, jeżeli to zależy od niego, zechce ci dać pozwolenie?

— Ja też nie myślę prosić go o nie. Po nad władzą sędziego śledczego jest jeszcze prokurator jeneralny, pan Grollier-Savernes, którego znam dobrze. Dalej, minister sprawiedliwości. Zobaczymy, czy to tak trudno będzie baronowej Jacobsen uzyskać pozwolenie, gdy chodzi o rzecz tak bagatelną!

— Kiedyż pojedziemy z temi wizytami?

— Jak tylko pan Gervais zawiadomi mnie o uwolnieniu Roberta z celi sekretnej.

— Ach, jakiż on szczęśliwy będzie, zobaczywszy nas obie! — zawołała Helena.

— To jest, gdy zobaczy ciebie — smutnie odrzekła Paulina — bo czemże ja dla niego jestem? On nie wie o naszych przypuszczeniach co do pochodzenia jego i nie powinien się nawet domyślać.

— Moja mateczko, czyż on potrzebuje o tem wiedzieć, by cię kochać? Alboż nie podzieła wszystkich uczuć moich, zarówno sympatyi jak nienawiści? A wie przecież, że ty dla mnie jesteś wszystkiem, żeś mi zastąpiła mą matkę zaginioną.

— Jesteś czarodziejką, cicho bądź!

A po chwili, jak gdyby w celu zapanowania nad wzruszeniem, powstała i rzekła:

— Chodź, pokażę ci gniazdko, przygotowane dla ciebie. Pokój twój łączy się z pokojem Sybili i znajduje się obok mojego. Chcę już mieć teraz złudzenie powróconego mi macierzyństwa i pragnę czuwać nad tobą, moja ukochana Helenko Jacobsen.

I powiodła ją do pokoju, przygotowanego dla niej. Nie był to pokój ani salon, ale raczej sanctuarium. Wszystko tam miało charakter dziewiczy: ściany pokryte adamaszkiem białym, statuetki marmurowe, lampy srebrne, koronki pokrywające łóżko i dywan biały i meble i wszystkie drobiazgi.

Komody pełne były bielizny i ubrania, szkatułki zapełnione brylantami, biblioteka złożona z ulubionych książek Heleny, na fortepianie nuty najwięcej cenionych przez nią kompozytorów, lecz nad tem wszystkiem jaśniał zawieszony na ścianie w srebrnych ramach portret Nadiny z czasów jej dzieciństwa, ofiarowany Nadinie przez panią de Santa-Cruz.

Helena rzuciła się na szyję swej matki chrzestnej.

— Brak mi jeszcze jednej rzeczy — zawołała.

— Czego mianowicie?

— Twego portretu, droga mateczko.

— Musisz się obejść bez niego, gdyż nigdy nie miałam go.

— Nie, nie obejdę się. Musisz jutro fotografować się. Naprzód ja potrzebuję mieć twoją fotografię, a drugi egzemplarz wraz z portretem moim damy Robertowi.

Paulina nie opierała się.

Zaledwie pani Jacobsen, Helena i miss Andrew wstały od obiadu, gdy do sali wszedł lokaj i zaanonsował pana Gervais.

— Proś do saloniku — rzekła i po chwili wraz z Heleną udała się naprzeciw gościa.

Sybila odeszła do przeznaczonego dla niej pokoju.

Oblicze szefa policyi zdradzało troskę.

— Co się stało? — zapytała zaniepokojona Helena. — Czy sprawa nasza źle idzie?

— Nie powiem, że źle — odrzekł pan Gervais; — ale nie tak, jak pragnąłem.

— Niech pan opowie wszystko — odezwała się pani Jacobsen.

— Naprzód, stosownie do przyrzeczenia, wysłałem do Orleanu ajentów dla zasięgnięcia wiadomości o dziecku, znalezionem pod drzwiami szpitala. Ale to było tak dawno i od tego czasu tyle zmieniło się przełożonych zakładu, że nikt nie mógł przypomnieć sobie tego zdarzenia. Wszelako pewna stara kobieta, usługująca na sali, oświadczyła, że siostra Genowefa, wielka przyjaciółka ówczesnej przełożonej, może coś wiedzieć o Robercie. Zacząłem jej szukać i dowiedziałem się, że znajduje się obecnie w Bordeaux i jest przełożoną w tamtejszym szpitalu. Nie chcąc powierzać tej czynności komu innemu, pojechałem do niej sam.

— Do Bordeaux? — zawołała pani Jacobsen.

— Tak. Siostra Genowefa ma dzisiaj około pięćdziesięciu pięciu lat i widać z jej twarzy, że jest osobą bardzo dobrą i inteligentną. Była ona rzeczywiście ulubienicą przełożonej zakładu w Orleanie, która nie miała przed nią żadnych tajemnic. To ona znalezionemu dziecku nadała imię Robert, na pamiątkę swego brata, zabitego w wojnie pod Sebastopolem.

— Cóż ona wie o dziecku? — zapytała Paulina.

— Wie tylko tyle, że pewnego poranku zimowego znaleziono je na progu szpitala bez żadnej wskazówki pochodzenia. Ale w miesiąc potem do przełożonej zgłosiła się jakaś kobieta, włościanka, z oświadczeniem, że mieszka pod Paryżem i wzięła to dziecko na przekarmienie, na warunkach, jak jej się zdawało, korzystnych. Pewnego dnia matka dziecka znikła, nie zapłaciwszy za nie. Kobiecina czekała jeszcze parę miesięcy, ale gdy przycisnął ją niedostatek, udała się do Orleanu w nadziei znalezienia służby. Nikt nie chciał jej przyjąć wraz z dzieckiem na ręku. Wtedy zdecydowała się oddać je do szpitala, tem bardziej, że było ono cudze.

Pozbycie się dziecka nie polepszyło jej pozycyi, gdyż pracy nie znalazła; zniechęcona więc niedostatkiem, postanowiła odjechać do Algieru, ale przed wyjazdem chciała powiedzieć wszystko, co wiedziała o biednym podrzutku, rachując, że może to przyniesie jej szczęście.

— No i cóż powiedziała? — zapytała Paulina.

— Siostra Genowefa przypomina sobie, że kobieta ta nazwała się Różą Prunier, czy też Różą Pommier, gdyż nie jest tego pewną, ale pamięta, że nazwisko pochodziło od jakiegoś drzewa owocowego. Co do matki dziecka, to Róża była u niej raz tylko i to wtedy, gdy z rekomendacyi kantoru stręczeń przychodziła umówić się jako mamka. Zgłosiła się do jakiegoś domu przy ulicy de la Tour i pytała o jakąś panią Urszulę.

— Musiało to być imię jakiej zaufanej służącej.

— Widocznie. Wprowadzono ją wtedy do bardzo wspaniałego apartamentu i wręczono jej dziecko, niemające nawet kołyski. Leżąca w łóżku w tym samym pokoju kobieta miała być nadzwyczajnie piękną.

— I ona nie pytała się o nazwisko tej kobiety?

— Zapewne nie śmiała, widząc taki przepych w mieszkaniu. Dano jej wyprawkę dziecięcą i pieniądze na kupno kołyski, zapłacono za dwa miesiące z góry i odprowadzono z zaleceniem, by nigdy nie pokazywała się w tym domu pod karą odebrania jej dziecka.

Róża, przekonana, że na długi czas będzie miała byt zapewniony, była posłuszną, tem bardziej, że przez dwa następne miesiące Urszula przybywała do niej, regularnie wypłacała należność i dodawała dość grube gratyfikacye. Ale gdy przez kilka następnych miesięcy nie pokazała się, Róża poszła na ulicę de la Tour, lecz nie zastała nikogo. Wtedy opuściła Paryż i udała się do Orleanu.

— A na bieliźnie Roberta czy nie znaleziono żadnej cyfry, żadnej wskazówki?

— Nic nie znaleziono. Wszakże siostra Genowefa przypomina sobie, że na szyi dziecięcia zawieszony był medalion, który mu pozostawiono.

Pani Jacobsen usłyszawszy to, przypomniała sobie, że i Olivier długi czas również nosił na szyi medalion, zawieszony mu na szyi po urodzeniu. Być może, że dał go swemu synowi.

— Medalion? — powtórzyła — złoty i z wyobrażeniem Matki Boskiej?

— Siostra Genowefa — rzekł pan Gervais — nie pamięta tego.

— Medalion Roberta jest u mnie — rzekła Helena, zdejmując go z szyi.

Paulina pochwyciła go pośpiesznie, lecz spotkał ją zawód boleśny.

Nie był to medalion Oliviera.

Zastanowił ją przecież dziwny kształt jego i jeszcze dziwniejsze, pokrywające go znaki.

— Czy wiesz Heleno, co one oznaczają? — zapytała.

— Nie wiem i Robert nie wiedział: spodziewał się tylko, że medalion ten pomoże mu kiedyś do odszukania rodziny.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Odpowiedzialny redaktor Wacław Maciejewski. Papier z fabryki Braci Fijałkowskich w Białej. Z drukarni szt. W. Maniecki(?). — Zarządca W. Rodak.